Nr. 5. Lwów, dnia 15. maja 1895. Rok XVIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Dawni wróżbici.

NAPISAŁ

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

(Ojczyzna łabędzi; ich przyroda i zwyczaje; półdzikie łabędzie w Marchii; łabędź w mytach, w legendach i w dziejach łowiectwa naszego. Łabędzie swojskie; przeloty w czasach obecnych).

Gdyby współczesny jaki autor podręcznika myśliwskiego — który, mówiąc nawiasem, niedawno temu jako konieczny omawiany był dość szeroko w fachowych kołach i w prasie, a pozostał dotychczas tylko pobożnem życzeniem — gdyby taki autor umieścił łabędzia w rzędzie naszej łowieckiej „ornis", spotkałby się niezawodnie ze słusznym zarzutem, że wypełnia drogie karty książki praktycznej treścią jedynie dla ornitologa ciekawą. To też nie dziw, że i nasi starsi autorowie z czasów, gdy to jeszcze u nas wydawano czasem książki o nauce łowieckiej, nie spotykając częściej łabędzia na ziemiach polskich, wcale o nim nie wspominają. Pozostaje im natomiast więcej miejsca do omawiania senzacyjnych łowów na żołny, kraski, na siewki o czterech skrzydłach! — albo do opisu kreatur, których podobno jeszcze nigdy ziemia polska nie widziała i nie hodowała i do zaliczenia ptaka „Sse Cruen" do wyższego myśliwstwa krajowego (Kurowski, Myśliwstwo w Polsce i w Litwie str. 77. Poznań r. 1865). I wcale nie byłbym krzyw takiej propagandzie aklimatyzacyjnej jakiejś chińskiej kury na ziemiach naszych, ptaka, którego mięso według wyobrażenia Chińczyków bardzo korzystnie wpływa na rozwój władz umysłowych, ale cóż, kiedy tylko przykład pociąga, a w obec najnowszych wypadków na dalekim wschodzie, wśród narodu, posiadającego od wieków kurę Sse Cruen, trudno chyba o przykład powszechnej bystrości władz umysłowych Niechże więc ta kura dalej oświeca zabite pałki obywateli Niebieskiego państwa, a ja, rzucając na wartką falę miesięcznika wspomnienia o łabędziu, nie spotkam się chyba z zarzutem, bo przecież i ziemie polskie podają temu ptakowi niekiedy sposobność do popasów, boć i u nas przelatują od czasu do czasu z wiosną lub jesienią niewielkie stadka łabędzi, a jedna odmiana, „Łabędź głuchy" (Cygnus gibbus) ma się nawet gnieździć na północnych kresach naszej ojczyzny, według podań Tyzenhauza i Platera, w historycznem zaś łowiectwie naszem odegrał łabędź pokaźną rolę w romantyce sokolich łowów.

Powszechnie i stereotypowo podają obecnie jako ojczyznę łabędzi półwysep Skandynawski, północną Rosyę, Małą Azyę, Persyę i brzegi Kaspijskiego morza. Znajdują się one jednak i we wielu innych krajach, jakkolwiek nie tak licznie. Przedewszystkiem lubią łabędzie spokojną i czystą wodę, na prądach i na wodzie mętnej usiadają niechę-

tnie; szczególniej nie odpowiada im woda przerosła gęsto roślinnością, a mianowicie zagęszczona rdestnicą *(Potamogeton)* i jezierzą *(Najas)*. Znalazłszy odpowiednią spokojną ustroń i przeźroczyste wody, przepędza tam na nich łabędź większą część życia, pływając z taką gracyą i wdziękiem, że w tej sztuce żaden inny ptak mu wyrównać nie potrafi. Szybki i posuwisty ruch na wodzie zawdzięcza anatomicznej swej budowie, a mianowicie szerokim wiosłom i słabemu zanurzaniu się ciała w wodzie. I li tylko w tym żywiole, jako prawdziwy mistrz swej sztuki, wzbudzić może zachwyt, tam przedstawia się w całej doskonałości — a lepiej nie czekać, aż wyjdzie na brzeg, po którym również chętnie chodzi — bo wtedy ginie iluzya i stoi przed nami niby gęś chodząca niezgrabnie i kołysząca się kaczkowatym ruchem. Pływając, przystaje czasami, przygląda się w źwierciedle wody swej pięknej postaci, muska się, czesze dziobem, gładzi pióra, kąpie się, w ogólności elegant to wielki, poświęcający wiele czasu toalecie. Wylądowawszy, daleko się nie zapuszcza, przysiada najcześciej niby gęś na piasku i tu naprzemian drzemką i porządkami koło swej figury skraca sobie czas. Wykąpawszy się w piasku, w promieniach słońca, uśnie nie na długo z główką pod skrzydłem, ale wnet znów się budzi, uzupełnia najmniejsze braki w układzie piór — a gdy wszystko gotowe, rastawia znów białe swe żagle, steruje między trzciny lub wysepki traw i wyławia tam, wcale się nie nurzając, rozkładem rozluźnione listki lub korzonki wodnych roślin. W ogólności jest łabędź przeważnie wegetaryaninem, ryb o ile mi wiadomo wcale nie jada; podstawę jego wyżywienia, jakto uważałem na łabędziach oswojonych, stanowią korzonki, listki, nasiona roślin wodnych a oprócz tego wyławia z wody drobne małże, skorupiaki, owady i... ikrę rybią, co czyni go znów nieco szkodliwym na rybnych sadzawkach. Lecz ileż to innych stworzeń czyha na ten kąsek, nie wynagradzając niczem swej szkodliwości?!

Niegdyś utrzymywano łabędzie tylko dla podniesienia estetyki wód, a nie wiedziano nic zgoła o ważnej roli, jaką łabędź spełnia w usługach hygieny; ot, była to ozdoba i przedmiot ożywiający jednostajną powierzchnię sadzawek i stawków parkowych. Bliższe zapoznanie się z jego przyrodą przekonało dopiero, że fanatyczny ten czciciel czystej i przeźroczej wody wyławia z niej wszelkie ciała roślinne, pozostające w rozkładzie i w ten sposób niszczy mikroorganizmy, zatruwające powietrze. Tem sympatyczniejszym staje się więc łabędź w czasach, gdy coraz więcej takich straży hygienicznych potrzeba, gdy drobnowidz, zdemaskowawszy ukryte przed naszym wzrokiem myriady wrogich nam organizmów, wytworzył zupełnie nowe, racyonalne zasady hygieny i do szczętu wywrócił dawne wyobrażenia o patologii.

Pomimo, że niektórzy naturaliści a przedewszystkiem Buffon, wynoszą pod niebiosa szczególną zgodliwość łabędzi, które, jak to dosłownie wspomniany przyrodnik utrzymuje, „pogodziły się z całą naturą" — jest to ptak w najwyższym stopniu napastliwy, a szczególniej w porze godowej. Nietylko, że nie znosi obok siebie innego ptactwa, jak kaczek i gęsi, ale gniew swój zwraca i przeciw własnemu plemieniu. Jedynie jego własna rodzina jest pod bezustanną czułą opieką dożywotniego małżonka i starannego ojca. Biada stworzeniu słabszemu, które niebacznie przestąpi progi tej nietykalnej świątyni domowego pożycia w łabędziej rodzinie.

Podczas pory godowej odbywają się pomiędzy samcami najstraszniejsze walki na śmierć lub życie — są tam w robocie i skrzydło i dziób, a częstokroć się zdarza, że zapaśnik, nie mogąc w inny sposób pokonać rywala, nakrywa go skrzydłem, przydusza i topi. W takich chwilach roznamiętnienia każde zwierzę, a nawet człowiek bywa napadany z prawdziwie bohaterską odwagą, a myt o Ledzie i łabędziu, w którego postaci miał się ukryć Zeus, dałby się w sposób bardzo zrozumiały wytłumaczyć na gruncie niezmiernej napastliwości tego ptaka w porze godowej. Akt sam odbywa się z demonstracyą takiego zasobu lubieżności w ruchach i głosie, że w sedno prawdy trafiła fantazya narodów klasycznych, zaprzęgając łabędzia do wozu bogini wdzięków i miłości.

Poznanie bliższe łabędzia pod względem przyrodniczym szarpnęło nieco wiekową jego sławę przykładnej wierności małżeńskiej i zamgliło poetyczną baśń o bohaterskim kochanku, bo wobec mniejszej ilości samic zdobycie miłości i względów staje się drogocennym, okrutną konkurencyą w swej wartości spotęgowanym darem; zresztą w zdrowym stanie natury wiarołomstwo staje się rzeczą niemożliwą, a wierność z konieczności przestaje być cnotą.

Gdy przeminie pora wielkich życia przeznaczeń, gdy wreszcie jak oko w głowie przez rodziców strzeżone pokolenie podrośnie i wyzwolone zostanie z pod opieki rodzicielskiej, zmienia łabędź raptem swe usposobienie, należy teraz do całego plemienia, staje się towarzyskim i łączy się w stada. Szczególnie wielką towarzyskość objawia „Łabędź krzykacz". Gromadząc się setkami, usiadają ptaki te po morskich zatokach i wybrzeżach, skąd nieraz na kilkumilowym promieniu rozchodzi się po wodach choralna ich pieśń — po naszemu t. z. „kneranie", brzmiące niby „Killklü-Ang" w niskich fletowych tonach. Pieśni takie słyszałem w pewnych miejscach na brzegu Bałtyku, w porze jesiennej, nie widząc wcale ptaków; rzewny ten i bezustannie brzmiący głos płynął po wodzie, niby echa dalekiego konania, a w rzeczywistości była to muzyka towarzyska całych stad żywych łódek, kołyszących się na morskiej fali. Jak każdy mniej więcej ptak, tak i łabędź ma w swej ojczyźnie pewne ulubione ustronia, w których najchętniej gromadnie przebywa. Wątpię, aby czynił to dla pięknego widoku lub innych jakichś idealnych powodów; po ustaniu działania jednej silnej sprężyny życia organicznego, gdy już pokolenie odchodowane, poczyna działać druga — nieco brutalniejszej natury — oto sprawa wyżywienia każe mu obierać pewne miejsca, które pozornie dla naszego oka wcale się w tym względzie od innych nie różnią, w istocie zaś są dla łabędzia życioważną potrzebą.

Rozmaite odmiany uszycy *(Sagittaria)*, rosnące koło wód, osadzają na korzeniu rodzaj głąbi, niby kartofli, które również pewien gatunek skrobi zawierają. Ztąd też Kałmuki jedzą je, a mianowicie głąbie zwykłej naszej uszycy strzałolistnej *(S. sagitaefolia)*, a w Japonii znów i w Chinach głąbie wielkości pięści z innego gatunku tej rośliny, *(S. chinensis)* służą za wybredną jarzynę. W Ameryce północnej resztki czerwonoskórców również pożywają głąbie z *Sagittaria latifolia* i innych odmian, i nazywają tę potrawę „Wappatov" albo „Wabesi ping", co dosłownie oznacza „kartofla dla łabędzi", utrzymując, że najwięcej jest w tych miejscach łabędzi, gdzie roślina ta rośnie, gdyż ptaki te żyją jej głąbiami. Czy uszyca dlatego tam rośnie, bo ma wodę, na której żyją łabędzie, czy też łabędzie dla tego tam przebywają, bo mają żywność w jej głąbiach — tego rozstrzygnąć nie umiem.

Wiele bardzo tajemniczych zagadek w objawach natury a specyalnie także i w łowiectwie polega na niedostrzeżonej roli pewnych czynników nieznacznych, a mimo to nadających charakterystyczne cechy faunie pojedyńczych okolic.

Najwięcej łabędzi na pół dzikich, gdzie też i obserwacya ich życia na wielką skalę może mieć miejsce, znajduje się obecnie na wodach Haboli i Sprewii (Hawel i Spree) w Niemczech. Kilka tysięcy tych ptaków zaludnia te wody, a niebrak usiłowań, aby je jeszcze bardziej rozmnożyć. Ze stron tych nie mówią nic o zjadaniu głąbi uszycy przez łabędzie, a jako żywność ich podają kiełki, nasiona trzciny i ikrę rybią. Ptactwo to, tak charakteryzujące wody Marchii, jest prawdopodobnie dawnych czasów wendyjskich pamiątką, a może po łabędziach zwanych przez Wendów „Koly“ albo „Szony“, pozostało mnóstwo nazw miejscowych, w których tkwi ten źródłosłów: Kolno koło Potsdamu, Kolim, Kolimen, Szonów (Schönau) itp.

Już w XVI wieku zostawały stada tych ptaków w Marchii pod opieką prawa, a mięso łabędzia, chyba dlatego, że wymagało zbyt dużo przyprawy, aby go zjeść można, było przywilejem stołów wielkopańskich. „*Schwan u. Fasan darf nur der König han*“ przeszło w utarte przysłowie. Głównym pożytkiem, jaki dają te na pół dzikie, a tylko możności dalszego lotu przez złamanie lotek rękowych pozbawione ptaki, jest pierze. Co roku, dwa razy, w maju i sierpniu, odbywa się podskubywanie spędzonych w pewne miejsce łabędzi — widzieć to można w Potsdamie lub w Schildhornie — a kto raz to zobaczył, ten odniesie wstręt na całe życie. Jest to rzeczywiście operacya barbarzyńska, nie licująca wcale z naszemi wyobrażeniami o prawach zwierząt.

Ostatniemi czasy wzięto się w Anglii do tuczenia łabędzi, no, i jak donoszą sprawozdania w czasopismach fachowych, rezulat jest znakomity. Młode łabędzie zjadłszy po 60 litrów jęczmienia moczonego z domieszką siekanej trawy i liści kapuścianych, dochodzą w jesieni do 15 klgr. wagi, a pieczyste — wyrażając się słowami sprawozdawcy, gdyż nie wiadoma mi jest skala takiej oceny—„zajmuje pośrednie miejsce w smaku pomiędzy zającem a dziką kaczką“. *(Geflügelzeitung Febr. 1895).*

I tak *mutantur tempora* — kochanek niegdyś najpiękniejszej heleńskiej dziewczyny, ulubieniec Afrodyty, w zupełnie prozaicznym kierunku wyzyskiwanym zostaje, a chcąc go poznać, zamiast błądzić po mytycznych wodach Aetolii lub po Knydyjskiej bogini misteryach, dosyć jest popatrzeć na wstrętną operacyę podskubywania, albo wpaść aż do kuchni.

W swych podróżach odwiedzały łabędzie często i klasyczne kraje morza śródziemnego, lub gnieździły się, jak to ma miejsce i obecnie, przy niezliczonych wyspach Archipelagu, wplotły się przeto już w zaraniu dziejów w fantastyczną przędzę mytologii, budząc przedewszystkiem swą postacią powabną ciekawość plemienia ludzkiego, które po wszystkie czasy zostanie mistrzem piękna i wzorem innych narodów. Łabędź, podobnie jak każdy inny ptak, był i jest meteorologiem z bożej łaski, a własność ta w połączeniu z powabną postacią postawiła go na pierwszem miejscu. Ten dar jasnowidzenia i tę piękną postać mógł pozyskać tylko w obcowaniu z mieszkańcami różowych szczytów Olimpu — tak myślał Grek — i wprzągł łabędzia do wozu unoszącego powietrznymi szlaki bożka wszelkiego piękna, Apolina, w kraje Hyperboreów, lub kazał tym ptakom ze skrzydeł stawiać dla niego namiot w świętych gajach delfickich. W mytycznej Hesperyi, gdzieś daleko na zachodzie, na wodach bajecznego Erydanu, w których gniew Jowisza pogrążył niegdyś śmiałego Phaetona, gromadziły się ogromne stada łabędzi i rzewnym swym spiewem, płynącym daleko po sinem morzu, zapowiadały zbliżającą się śmierć. Toczą się jak dawniej Erydanu (Padu) wody — błyszczy lazurowa szyba Adryi — ale umilkł spiew łabędzi; wrzawą zgiełku odezwały się wybrzeża bajecznej Hesperyi — przeleci tam kiedyś jakiś daleki potomek tragicznych wróżbitów, ale nie zatrzyma się, pomykając dalej ku północy, gdzie jeszcze do czasu Archeus przyrody strzeże jego siadła. Tylko wspomnienia o klasycznym łabędziu i o jego ostatnim śpiewie zostały w spuściźnie narodom, i z tą rzewną spuścizną żegnają aż po nasze czasy świat muz ulubieńce.

Wraz z kulturą klasyczną, niby egzotyczna roślina, przyjął się i u nas pośrednio myt o śpiewie łabędzim, gdzie pod mroźnem niebem uderzały także serca ciepłe dla zamarłej narodów klasycznych poezyi, zapominając o pięknych motywach rodzinnych. „Bajała starożytność“, powiada Potocki w Argenidzie tłumaczonej z Barklaja w 1647, „że łabędzie przed śmiercią smutne nucą treny“. Były to więc tylko echa prastarej greckiej legendy, a nie samoistne płody poezyi rodzimej. Trudno w sposób zupełnie zaspokajający wytłumaczyć sobie każdy utwór gorączkowej fantazyi Greka, jednak i tu da się odszukać jakaś szczypta przyrodniczej prawdy, na której tkała dalej swą przędzę myśl pegazia. W przelotach usiadały jak dziś tak i niegdyś całe stada łabędzi na ustronnych i spokojnych wodach, i znalazłszy żywność, „knerały“ przez kilka dni i nocy w jednem miejscu, a na głąb tę ściągało się coraz to więcej ptaków i coraz bardziej potężniał choralny koncert. Wreszcie nadeszła chwila dalszej wędrówki; na dany sygnał, jak to się dzieje i u innych ptaków wędrownych, wznosiło się wszystko w górę, jeszcze kilka oderwanych brzmień przesłało ostatnie pożegnanie — i wreszcie całe stada utonęły w przestworach widnokręgu. I pusto znów na Erydanu wodach, cisza zalega niedawno jeszcze tak ożywione tonie, a prosta myśl się rodzi: Całe stado, odśpiewawszy swą pieśń ostatnią, utonęło w grobowych nurtach Heliosowego syna.

Wyobraźnia narodów północy, wykołysana na surowem łonie natury tych krajów, nieco odmienną wskazała rolę łabędziom w swych mytach i legendach. Nie dolatują stamtąd głaszczące słuch pienia przedśmiertne łabędzi na tle upajającej zmysły przyrody; tam rozdziera powietrze chrzęst zbroi, zgiełk strasznej walki, a w łabędzią postać przerzucone walkyry lecą rozstrzygać zapasy krwawe i rozdzielać losy śmierci, lub, zrzuciwszy z siebie łabędzią suknię, kąpią się w rzekach i stawach nadobne dziewice i przędą losy wojen. W późne czasy historyczne wlecze się myt łabędzi, a Hagen w Nibelungach, nachodzi nad Dunajem trzy w łabędzie pióra przebrane dziewczęta. I w naszych klechdach prastara bajka zmienia kapłanki w kształty łabędzie, każe im mieszkać nad wodami i oddaje im władzę nad przyrodą i dolą ludzi.

I nie skończyłbym tej wędrówki w mglistej krainie wyobraźni; podania często zbliżone, niby nasiona jednego drzewa narodów, rozleciały się z odnogami plemion po całej ziemi i rozrastały się w sposób charakterystyczny odpowiadający warunkom przyrody i temperamentowi narodów.

* * *

Muzea krajowe, w których oglądać można zazwyczaj trzy odmiany łabędzi, ubitych w rozmaitych stronach kraju, niemniej praktyka łowiecka udowodniają, że jakkolwiek jest to u nas p.ak rzadki, spotkać się z nim można podczas wiosennych i jesiennych przelotów. Naturalnie, że spotkania takie należą d coraz to większych rzadkości, w miarę postępującej kul i zaludnienia, gdy w coraz to realniejszych konturach rysowania się regulacya naszych wód i gdy na ogromnych powierzchniach dawnych pustek gniotąca

potrzeba każe rozwinąć bodaj jakąś na pół dziką exploatacyę tych niedawnych jeszcze obszarów dziewiczej natury. Niejeden łabędź przeleci wysoko ponad tą krainą, zmienioną do niepoznania, przeleci niedostrzeżony przez myśliwego, rzuci tęsknem okiem na zaniepokojone dawne siadła, i tylko w bardzo wyjątkowych razach zmusi go wielkie umęczenie do ryzykownego popasu Uwija się tam rybak wśród tych nieokreślonego charakteru dorywczych użytków, już go wyśledził, i wnet życiem okupuje szlachetny ptak chwilowy spoczynek, zostaje oskubanym i bez żadnych demonstracyj do szczętu zjedzonym, bo rzadko dostaje się taka zdobycz w ręce, które ją oddają na ozdobę muzeów. Inaczej to ongi być musiało na naszych ziemiach, wśród tej sieci rzek, rozlewających się szerokiemi pasmami wskróś kraju. Łabędź mógł znaleść nietylko siadła ale i wygodne na pielesze miejsca na wielkich wodach i w bezdennych puszczach, których ślady pozostały dotąd w pińskich, nadbużańskich i naddniestrzańskich okolicach. Posiadamy niezbite dowody, że ptak ten doskonale był znany dawnym naszym myśliwym, a z opisu sposobów, jakiemi łowiono płochego ptaka, wnioskować można, że było go wiele na wodach rozmaitych dzielnic.

Zanim nauka rozróżniła dwie odmiany łabędzi, uczynił to nasz szlachcic mazowiecki. „Myśliwstwo ptasze“ Cygańskiego opisuje „łabędzia krzykacza“ i odróżnia go od „łabędzia głuchego“ uprzedzając o całe wieki przyrodników, którzy później stwierdzili podobną różnicę, zwąc pierwszego krzykliwym lub gędźcem *(Cygnus musicus v. olor)* drugiego głuchym, nadobnym, garbodzióbym lub swojskim *(C. gibbus v. sibillus)*.

Łabędź głuchy, odróżniający się przedewszystkiem kulistą naroślą przy czole, utrzymywany najczęściej na sadzawkach, ani głuchym, ani niemym, nie jest odzywa się dość często w porze godowej, sycząc jak gęś, albo grzechocąc w głębokim tonie, jednak choralnych spiewów nie wykonuje nigdy i jest nieco mniej płochym, niż pokrewny krzykacz, co mu może przymiotnik głuchego niesłusznie nadało. Trzeci gatunek, „łabędź karłowaty“ albo „czarnodzióby“, dość towarzyski, bo również w znacznych przebywający stadach, miał być według Tyzenhauza „w przelotach zimowych w Litwie ubijany“ i dlatego wspominam tu o nim, bo wreszcie zdaje się nigdy nie gości na naszych wodach. Ptak ten już w locie może być od innych odmian odróżniony, pomimo, że co do swej wielkości w locie wydaje się wyrównywać krzykaczowi, gdyż wielkość ta jest pozorną i na złudzenie składa się odmienny układ i długość piór. W locie porusza łabędź karłowaty skrzydłami daleko szybciej niż krzykacz i odzywa się nieco wyższym głosem.

Że łabędzie należały ongi do naszej rodzinnej ornis, dowodem stara nazwa na oznaczenie młodych ptaków w puchu. Zwano je „zdroniami“. Nie jest to wprawdzie dowód pewny, bo nazwa ta mogła się odnosić i do młodzieży łabędzi udomowionych, jednak tego rodzaju specyalne nazwy nie wytwarzają się raptownie u zwierząt świeżo udomowionych, jakim był u nas łabędź. Dopiero w wieku XVI. poczęto u nas utrzymywać na sadzawkach te ptaki, a nazwa „zdroń“ niezawodnie do starej gwary myśliwskiej należy i zapewne odnosi się do piskląt łabędzi dzikich, które po naszych wodach się gnieździły. Barwa upierzenia przebywających u nas odmian, kiedy ptak zimową porą doszedł do zupełnego rozwoju fizycznego, jest czysto białą, a mimo to istniało przysłowie, służące na określenie rzadkości jakiegoś przedmiotu: „Snadniej o łabędzia białego, jak o to“. Wprowadza to na domysł, że ptaki białe, zupełnie wyrosłe, urągały ówczesnym sposobom myśliwskim, przeciwnie zaś, mniej lub więcej popielate lub szare ptaki młode, stanowiły zwykłą zdobycz łowiecką. Jednak jest tu możliwem i inne tłumaczenie przysłowia. Oto ptak biały, zupełnie wyrosły, mógł być jedynie znany myśliwym — i byłoby prawdopodobnem takie tłumaczenie, gdybyśmy nie wiedzieli, że łowy łabędzie odbywano u nas głównie w jesieni, kiedy młodzież nie posiada jeszcze białego upierzenia, w regule bowiem zdronie dopiero w trzecim roku osiągają zupełnie białą suknię, przechodząc w tym czasie rozmaite stopnie popielatej lub szarej pstrokacizny. Dopiero w białej odzieży osiąga łabędź dojrzałość fizyczną i rozpłodową — a trwa to długo, bo żyć może do 100 lat.

Przemiana barw u ptaków młodych odbywa się bardzo powoli i stopniowo. Z początku zdronie są dość ciemnej brunatno-siwej barwy — dziób jasno-czerwony i takie też wiosełka; w drugim roku pstrokacizna staje się widoczną wskutek wykluwania się białych piór; w trzecim coraz gęściej przybywa plam białych, aż wreszcie całe ciało pokryte jest lśniąco-białem pierzem. Dzika natura łabędzia odzywa się i w stanie udomowienia; gdy w porze wędrówek wolny współplemiennik zadmie w powietrzu i zawabi, to i oswojony łabędź gotów się zrzec troskliwej człowieka opieki, zapomnieć o rodzinnym stawku — ale biedak nie może — brak mu lotek, bo mu je odjęto jeszcze kiedy był młodziutkim, skazując go w ten sposób na dożywotnią niewolę bez troski.

Aż zazdrość bierze, w jak łatwy sposób dostaje łabędzia autor „Myśliwstwa ptaszego“. Nie były to znać obcych ziem obywatele, ale dobrze znani mieszkańcy wód okolicznych. Oto pojedynczy przepis Cygańskiego — jeżeli ochota proszę spróbować: „Wetknij w jabłko niewielkie, w twarde wędkę, jeźlibyś nie miał tak małego, tedy naszczepaj jabłek a tam wędkę dobrze wetknij tak, żeby jej ptak nie wygryzł. y uwiąż u drewna sznur, u takiego, coby ptak z nim nie uciekł, żeby to wszystko po wierzchu pływało“. Ale widocznie nie zawsze dobrze się wiodło z tym jabłkiem i wędką, bo wreszcie autor, wspominający rzadko kiedy o użyciu rusznicy w łowiectwie ptasiem, opisuje w końcu „ujechanie łabeci“ z bronią palną w czółnie trzciną zamaskowanem. Rymowana zwrotka, którą swoim zwyczajem rozpoczyna ustęp o „Łabeciu“ określa ówczesne użytki z niego:

„Wyspisz się miękko — będziesz miał zwierzynę.
Z tę ku pracy będziesz miał przyczynę.
Iże się będziesz o Łabecia starał;
Nie stracisz, gdy się tymto będziesz parał“.

Nie wiem, czy również na wędkę z jabłkiem dostawały łabędzia przedhistoryczne pokolenia ludzi, dość, że go łowić musiały, jak to świadczą resztki tych ptaków, znalezione w budowlach nawodnych jakoteż w innych schroniskach przedhistorycznego człowieka. Prawdopodobnie sposoby, jakie znajdujemy w naszem historycznem łowiectwie ptasiem, były spuścizną zamierzchłych czasów, spuścizną pierwotnego stanu łowiectwa, a wobec gustów, nie nadających zamarłym łowcom wielkiej kompetencyi do wydawania krytyk kulinarnych, nie dziw, że łabędź był bardzo łakomą zwierzyną. Nietylko pierze i mięso, ale nawet kości skrzydeł i odnóży były potrzebnym nabytkiem; sporządzano z tych rureczek rozmaitego gatunku wabiki i mikoty, którym zabobon nadawał jeszcze szczególniejszą wartość, a bez czego ówczesne łowiectwo wcale obejść się nie mogło.

Długo przedtem, zanim na wzór Francyi i Anglii zapanowała u nas mania utrzymywania łabędzi swojskich, które były udomowionym łabędziem głuchym, zwracały oso-

bliwie koła możnych myśliwych szczególniejszą uwagę na łabędzia dzikiego, prawodawstwo zaś strzegło go ostrym rygorem. Ptak ten, nadając się do łowów z sokołem, powabnym był dla sfer najwyższych i stąd wyrobiła się ta szczególna opieka ustawowa, której wyraz znajdujemy już w pierwszem wydaniu Statutu litewskiego. Rozdział XII. Art. VI. ustanawia cenę łabędzia, a Rozdział XIII. Art. VIII. oznacza karę za rozrzucenie gniazda łabędziego. „A kto w cudzej puszczy z łabędziego gniazda jajca pokradł, tedy za łabędzie gniazdo zapłaci 3 ruble groszy.“ Była to kara bardzo wysoka w stosunku do innych, jakie ten statut na inne przewinienia łowieckie naznacza, bo za żubra zabitego w cudzej puszczy płacono 12 rubli groszy, za łosia i jelenia po 6 rubli groszy — zatem uszkodzenie 4 gniazd łabędzich szacowono na równi z zabiciem żubra!

Jeżeli już nic więcej, to sam Statut litewski wskazuje, że łabędź podówczas należał do rodzimej ornis, i że postanowienia te odnosić się mogły tylko do ptaków w puszczy, a zatem dzikich.

Szersze zaprowadzenie łabędzi w parkach magnatów odnieść należy do czasów późniejszych; inaczej nie wspominanoby w dziejach jako o fakcie nadzwyczajnym, o podarowaniu 3 sztuk łabędzi przez królowę Bonę księżnej Radziwiłłowej, nie wspominałby współczesny satyryk (Korybut) o wielkiej rzadkości tych ptaków w Polsce. Niezawodnie jako na szczególną osobliwość patrzała księżna na Birżach i Dubinkach z okien wspaniałego zamku, oblanego pięknem jeziorem, na powabne ruchy i pląsy łabędzi na jeziorze i tu niezawodnie polubiła to ptactwo piękna Barbara z Radziwiłłów Gastołdowa, przebywając w tym zamku, zanim jej z królem małżeństwo przestało być tajemnicą. Amatorstwo w tym kierunku objawiło się później w przepysznie urządzonym na sposób francuski ostrowie łabędzim pod Wilnem.

Ad regis exemplum totus componitur orbis — to też wnet rozszerzyła się moda utrzymania łabędzi po całym kraju, ale sądząc z dziejów naszego sokolnictwa, ptaki, bodaj po parce utrzymywane na lada jakiej sadzawce, pochodziły w wielkiej części ze zdobyczy łowieckiej. Harce z sokołami na łabędzie należały do najwspanialszych epizodów tego łowiectwa, potrzeba tam było wiele i to bardzo dobrze unoszonych sokołów, doskonałych koni, wielkiej a drogiej wystawy, co ten sport ubiegłych dziejów czyniło wyłącznym monopolem klas możnych. Biedny szlachetka ze swym „krogulaszkiem“ lub „drzemlikiem“ nie miał tam pola do popisu i nie mógł w takiej walce narażać na niebezpieczeństwo drogiego klejnotu, gdyż silny i uparcie broniący się łabędź tylko przez kilka sokołów mógł być pokonany, a i w takim razie częstokroć utratą sokoła okupionem było zwycięztwo. Na takie sprawy praktycznie się zapatrywał ubogi szlachcic mazowiecki, „prawdziwy myśliwy rad był mieć — jak powiada — rozkosz przy pożytku“ i chciał się cieszyć sokołem przez długie lata. Inne cechy miało sokolnictwo wielkopańskie; „było to więcej dla stroju jak dla potrzeby i pożytku“, jak twierdzi Górnicki w swym „Dworzaninie“. I rzeczywiście nadzwyczaj barwne obrazy przesuwały się przy łowach sokolich przez długie wieki w dziejach naszego łowiectwa; mgła czasów przykryła tę wspaniałą kartę, a tylko na podstawie rzadkich opisów można sobie odtworzyć słabe pojęcie o tej łowczej romantyce, gdzie istotne okrucieństwo kryła wpaniała wystawa i zewnętrzny splendor.

Opadnięty przez sokoły łabędź starał się wszelkiemi sposoby zbliżyć do żywiołu, którego był panem, to też najczęściej scena upartej walki przenosiła się na wody i tu groziło wielkie sokołom niebezpieczeństwo; lada ruchem ogromnego skrzydła mógł być nakrytym drogocenny raróg i pogrążonym w topieli. Innym razem, gdy daleko od wód napadnięty łabędź, pokaleczony i na siłach stargany, padał na ziemię, odbywała się na ziemi końcowa przedśmiertna walka, w której ostatnie konwulsyjne ruchy potężnego ptaka mordercze w okół zadawały ciosy. Zazwyczaj pokonany łabędź musiał być dobijany, dla skrócenia niebezpiecznej dla sokołów sytuacyi, a największą sztuką, osobliwie gdy walka na wodzie się odbywała, było ujęcie żywego jeszcze łabędzia arkanem. Był to rzeczywiście popis zgrabności wobec warunków, w jakich to miało miejsce; myśliwy brnął na koniu w nieznanych wodach i w takiej niebezpiecznej sytuacyi zarzucał arkan i wyciągał żywego ptaka z obrotów sokolich. Nic dziwnego, że taka zdobycz myśliwska, okupiona zasobem trudu, odwagi i zręczności, stanowiła po wygojeniu z odniesionych ran, miłą pamiątkę i ozdobę stawów.

W przelotach jesiennych najwięcej łabędzi zapadało na naszych wodach — to też jesienna pora była właściwym sezonem łowów; wiosennych gości chroniły zazwyczaj ogromne wody roztopów. Od roku 1423 prawo Władysława Jagiełły zapewniło każdemu z uprzywilejowanych prawo polowania na własnym gruncie, ograniczając zarazem po raz pierwszy czas łowów z psami i sokołami na czas od ukończenia zbiorów aż do św. Wojciecha, a to z prostej przyczyny: *ne proles intereat.* Od tej pory wspaniały sport sokolniczy, praktykowany dotychczas przez koronę i przez świeckich tejże dostojników, stał się ogólnym, namiętnie uprawianym sportem całej klasy uprzywilejowanej. Na wzór Francyi, sokół stał się nierozdzielnym towarzyszem szlachcica: „*le faucon est le compagnon inseparable du noble chevalier*“. I bardzo smutne czasy nastały dla naszych łabędzi, gdy ogólna praktyka sokolnicza zaliczyła łabędzia, obok czapli białej, do swej najpożądańszej i najcenniejszej zdobyczy.

Obok rozmaitych sposobów, jakiemi łowiono to ptactwo, gdy broń palna w tym dziale łowiectwa z rzadka tylko była używaną, łowy z ptakiem, praktykowane w ciągu kilku wieków z niepohamowaną namiętnością, mogły wytępić choćby jakie zwierzostany, a nie dopiero ptactwo tak pokaźne i tak dla tego łowiectwa poszukiwane. To też w obec ogromnego zasobu środków i forsy, stojących do dyspozycyi możnym myśliwym, w obec coraz to zmniejszających się lasów i otwierania się szerszego pola dla sokolich harców, którym udział płci pięknej i amatorstwa jazdy konnej szczególniejszy nadawało powab, stawał się łabędź coraz rzadszym na naszych ziemiach. Jakkolwiek jeszcze w wieku 16-tym poczęły razić okrucieństwa sokolich łowów ludzi wybrednego smaku, mania trwała dalej w ogóle, i długo jeszcze głowy koronowane oddawały się namiętnie tej rozrywce, aż wreszcie na chronometrze gustów i upodobań wybiła stanowcza chwila zwrotu, sprowadzając w połowie zeszłego wieku nagły i zupełny upadek sokolnictwa. Krzysztof Opaliński, nauczyciel i ochmistrz ZygmuntaAugusta, był już bardzo wcześnie przeciwnikiem tego sportu i „wzbraniał młodemu księciu łowy z rarogiem“, podając jako powód „okrucieństwa z tem połączone, które co najmniej na uszlachetnienie młodego Pana wpłynąć mogły“, tem bardziej, gdy chodziło o życie łabędzia, ważącego się w powietrzu niby biała łódka niewinności.

Sokolnictwo wytworne, olśniewając przez szereg wieków dzieje łowiectwa przeżyło się samo w sobie jako każda moda i runęło niepowrotnie w przepaść jako nieodpowiednia czasowi, zbyt droga zabawka. Tułały się jeszcze jakiś czas rozmaite Kubusie, Idalgi, Pampany, Aldabony w zaniedbaniu po kuchniach i rozmaitych mniej honorowych zaułkach

dworów, aż wreszcie wyginęły i te żywe pamiątki lat ubiegłych, a tymczasem fale czasu, zmieniając dalej warunki przyrodnicze kraju, ogołociły go do reszty z powabnej dla takich łowów zwierzyny. I łabędź, którego tak łatwo chwytał ongi myśliwy 16 wieku na jabłko, stawał się coraz to większym rarytasem, rzadkim, płochym gościem, urągającym wydoskonalonej broni naszych czasów.

Kilka razy w życiu miałem sposobność bądź dojrzeć tego gościa, bądź usłyszeć o jego pobycie na naszych wodach; kilka razy mało życiem nie przypłaciłem wycieczek waryackich za tym ptakiem na wiosennych roztopach, ale niestety... *veni vidi*... lecz nie *vici* — łabędzia nie mogę zaliczyć do mej zdobyczy.

Lat temu dwanaście ponury zeszedł dzień listopadowy ponad stawiskiem kataryneckiem, (w pow. Rudeckim). Zamiast rozjaśnić się po zejściu słońca, zciemniało się coraz bardziej, tumany ołowianej barwy zaciągały w okół widnokrąg, wilgotne zimno przenikało aż do szpiku — wreszcie poczęły lecieć z rzadka wielkie płaty mokrego śniegu. — Nie ma z pewnością już zaczem szukać w lasach niezmiernych oczeretów, które się rozciągały po obu stronach grobelki, — tak myślałem jadąc zwolna w gęstym błocie, a wiatr szeleściał suchą „trościną“ i smutno brzmiała ta martwa malodya po niedawnych jeszcze objawach gwarnego, wesołego życia w tej dziedzinie. Wtem, tuż przy brzegu, z pod samego nasypu, porwał się ciężki kaczor krzyżowy, donośnie chlupiąc po wodzie i zapadł w niedalekiej smużce osoki. Grubo się pomyliłem zatem, a przeklęta loika, wnioskując z tego jedynaka na miliony kaczek w oczeretach, popchnęła mnie do czółna i na wcale niespodziewane objazdki. Aj, była to jazda! Jeszcze dziś mrowie mnie przechodzi, gdy o niej wspomnę. Mój pochwycony na drodze gondolier nie spiewał barkaroli, bo nie mógł, „cumkając“ zawzięcie ukryte w krótkim cybuszku smaki, obróciwszy go drugim końcem, a ja, stojąc po kostki w wodzie w dziurawem czółnie, nacisnąłem czapicę po uszy i postawiwszy kołnierz, na migi kierowałem gondolierem w kierunku siadła kaczora.

Wreszcie podsunęliśmy się zwolna pomiędzy trzciny i według mojej kombinacyi było już niedaleko do miejsca, gdzie kaczor zapadł. Czekałem dobrą chwilę, rozpatrując się na wszystkie strony, a tymczasem śnieżyca coraz to gwałtowniej się srożyła, wreszcie świata bożego nie było widać. Zniecierpliwiony i zły, wyrzuciwszy kilka piorunów i dyabłów, kazałem chłopu jechać do brzegu. Wtem niedaleko od nas, gdzieś w głębokich trzcinach, padł strzał. To naturalnie zmieniło kierunek jazdy, poczęliśmy się przepychać za strzałem — i po chwili na większej czyścinie zdybałem drugie czółno a w niem stał częsty mój towarzysz podobnych wypraw i trzymał w podniesionej ręce ubitego łabędzia za szyję. Był to łabędź krzykliwy, bo nie miał gałki przy czole, barwy nieczysto białej, a szczególnie po grzbiecie popielatemi plamami upstrzony. Bliski strzał — bo jak się teraz dowiedziałem, na kilka kroków do przelatującego ptaka, wśród najsilniejszej śnieżycy — zmasakrował go okrutnie; cały spód był literalnie podarty, tak że na okaz muzealny wcale się nie nadawał. Widząc to i minę mego towarzysza, zdradzającą inne zupełnie zamiary w rozporządzeniu tą zdobyczą, odciąłem na pamiątkę jedno wiosło, a towarzysz mój jeszcze niedawno przed śmiercią swą wspominał o lichem z łabędzia pieczystem. Skąd się wziął ten rzadki gość, dlaczego porwał się wprost pod lufę mego towarzysza, czy tenże wiedział, że taki rarytas kryje w tej chwili trzcina? Czy był to jakiś ślepy przypadek? O tem wszystkiem nic niewiem i wiedzieć nie będę... Coś tam o jakimś leśnym, napędzającym z natchnienia Czarnoboga zwierzynę na myśliwych, bajali nasi przodkowie — nasze pokolenie mówi coś o jakiemś uczuciu na dystans, które mianem telepatyi ochrzciło — ale czy był tu w grze styl stary, czy nowy, rozstrzygnąć nie potrafię.

Zwracając baczną uwagę na wiosenne i jesienne wędrówki ptaków, częstokroć zdarza się dojrzeć stadka wielkich jakichś ptaków, przelatujących wysoko w nierównych szeregach ukośnych, a czasem w pozornym obok siebie nieporządku; nie są to gęsi, bo te zdradza zazwyczaj charakterystyczny głos i barwa upierzenia. Zdarza się, że w wielkich wyżynach zalśni jaskrawo biała barwa ptaka, innym razem odezwie się w mgłach niby zadęcie klarynetu — otóż w obu wypadkach z pewnością przeciągają ponad nami łabędzie. Szeroka ojczyzna i bardzo kapryśne osiedlenie łabędzi na naszej północy, z drugiej zaś strony bardzo nierównomiernie objawiająca się u tych ptaków żądza dalekich wędrówek, składają się na to, że ptaki te częstokroć z niezbadanych dostatecznie powodów pojawiają się poza porą zwykłych wędrówek w jakiejś okolicy. Przeciągające zazwyczaj w drugiej połowie marca i w końcu października stadka łabędzi ponad naszą ziemią — to regularni turyści, obierający tę rutę w dalekiej podróży z jezior Finlandyi i Rosyi polarnej ku wyspom morza Egejskiego i limanom czarnomorskim lub odwrotnie; inne znów osobniki, przepędzające zimę na włóczędze w niedalekich okręgach na wybrzeżach Bałtyku, pojawiają się częstokroć chwilowo wśród głębokich lądów, zapędzone tu szczególniejszemi wybrykami klimatu w porze, gdy i tutaj dostatecznych warunków istnienia nie znachodzą*). Ptaki te jak *deus ex machina* pojawiwszy się raptem, znikają podobnie i rzadko kiedy dostają się myśliwym.

Wielkie wody wiosenne i jakaś dziwna gorączka, o tej porze trapiąca ptaki wędrowne, czyni również łabędzia nadzwyczaj niedostępnym; jedynie późna pora jesienna, podczas której ptaki te pozwalają sobie na dłuższe popasy na naszych wodach, daje sposobność wyjątkowej zdobyczy.

Przelatujące ponad naszą ziemią łabędzie odzywają się donośnie, a zapadłszy na popasy, zazwyczaj zachowują się zupełnie cicho. U kresów swej podróży, zebrawszy się w wielkie stada, rozpuszczają dopiero na dobre swe gardziołki. Czy jest to wyraz radości, towarzyskiego pożycia i dostatku żeru, czy objaw innego sentymentu łabędziej duszy? Sądzę, że nie marzą o gwiazdach spadłych na dno wody — wiem, że nie wróżą swej śmierci — „knerają“ i „kraczą“ swą pieśń odwieczną, opływając w dostatku i nucą tę samą pieśń, gdy coraz grubsze skorupy lodu na wodzie w ponurych barwach przysuwają przyszłość łabędzią. Takim jest spiew łabędzi naszych czasów.

Dobrym, pięknym jest i — na co najwięcej kładą nacisk nasze czasy — pożytecznym ma być kult nowoczesnego łowiectwa, kształcącego się coraz to dalej na zmienionych podstawach, na jakich go prąd czasu postawił, ale z tej naszych czasów kuchni, gdzie i najpowabniejsze potrawy na ekonomicznych przyprawiają się sosach, chętnie myśl ulata w upłynione wieki, po wspaniałe i naiwne wspomnienia z tej ukochanej przez wszystkie czasy zabawy i zaprawy do czynów donioślejszych, w której choćby maleńką rólkę odegrał i łabędź srebrnopióry.

Kiedyś — bo już nie wiem, do czego doprowadzą starania racyonalne na polu łowiectwa — zdroje ekonomicznego

*) W roku 1893. zastrzelono łabędzia krzykliwego czyli gędźca na Dniestrze w Uściu pod Rozwadowem dnia 20. grudnia (*Łowiec* 1894 pag. 15.)

błogosławieństwa spłyną dla całego narodu również i ze strony tego do niedawna jeszcze „brutalnego rzemiosła", co daj Boże — ale... łabędzi dzikich na wędkę z jabłkiem już więcej chyba łowić nie będziemy, nie zagrają rogi do rycerskich harców, bo to niepokoi stanowiska zwierza, nie zakwilą sokoły, nie zaszeleszczą ich loty, bo ich ustawa na wytępienie skazała, a chyba folblut wyciągać będzie dalej nogi na piaszczystej wyścigów arenie, lub gonić rozwiane wiatrem skrawki papieru. *Altera tempora, alteri mores...*



W czółnie na niedźwiedzie.

Z opowiadań myśliwskich A. Michajłowa.

W gubernii Archangielskiej są wielkie rzeki, płynące wśród tajemniczych, nieprzebytych puszcz. Pod wiosnę nabrzmiewają one wodami, szumiącemi w głębi kamiennych łożysk — w lecie nikną tak, że z potężnej rzeki pozostaje nieznaczna struga. Tu i owdzie, co 20 lub 30 wiorst, widać nad brzegiem jakąś ludzką osadę — szczególniej przy ujściach — zresztą las i las, a w lesie zwierz i jego prześladowca — myśliwy.

Do tych rzek, przecinających leśny ocean północnej Rosyi, należy między innemi Łaja, dopływ Dźwiny, długi na 150 wiorst. Pewnego razu, w ostatnich dniach maja, gdym nad brzegami Łaji uganiał za tokującemi pardwami, zaszedłem przypadkiem do wsi, położonej o jakich 15 wiorst od ujścia Łaji do Dźwiny. Ponieważ się już zciemniało, postanowiłem zanocować u chłopa, i nazajutrz jeszcze z powrotem okolicę przebuszować. Lecz tu dowiedziałem się, że dwaj chłopi, wprawni myśliwi, puszczają się na drugi dzień rzeką na niedźwiedzie. Podróż na niedźwiedzie, o tej porze i czółnem, zainteresowała mnie bardzo. A więc jeszcze przed wschodem słońca stawiłem się u obu tych niedźwiedziarzy i wprosiłem się do ich kompanii.

Pomimo, iż zegarek nie wskazywał jeszcze dnia, było już jasno jak w dzień, gdyśmy się do wyprawy szykować poczęli. Przy brzegu czekało na nas czółno, z pnia wydrążone, małe i lekkie jak łupina, tak, że można je było jedną ręką z brzegu na wodę zepchnąć. Jazda w czółenku takiem wymaga dużo ostrożności — jedno nieuważne wychylenie się — i można się skąpać w wodzie. Obaj niedźwiedziarze ulokowali się w końcach czółna z wiosłami w ręku, ja siadłem w pośrodku. Mimo gwałtowności prądu szła jazda dość równo, gładko i szybko. Wysokie, skaliste brzegi rzeki schodziły się coraz bliżej — olbrzymy drzew w górze rzucały cień coraz głębszy. Brzeg rzeki odsłaniał tu i owdzie grubą warstwę torfu, nad którą długie wieki pracowały. W miejscach tych okrywa ziemię tylko brzezina karłowata i splątane krzewy ostrężyny, a wysoki las odstępuje o paręset kroków od rzeki. Otóż do tych torfowisk ściągają się na wiosnę mysie, chude podówczas i bardzo wygłodzone po długim śnie zimowym. Podmyte brzegi rzeki wyłaniają z siebie całe kłęby korzeni i korzonków, stanowiących nie bardzo pożywną, roślinną, lecz zawsze nie do pogardzenia karmę dla niedźwiedzia.

Ku tym torfowiskom, położonym o jakich 30 wiorst od wsi, zdążaliśmy właśnie. Przepływaliśmy pośród pagórków, okrytych ciemnym lasem, gdy towarzysze zwrócili uwagę moją na małą wysepkę, którą wąska tylko odnoga rzeki oddzielała od stromego brzegu. Spad brzegu był tam jakby rozorany, drzewa połamane, mniejsze drzewiny powyrywane z korzeniem.

— To droga Michajła Iwanowicza (tak nazywają chłopi tamtych okolic niedźwiedzia) — rzekł jeden z mych towarzyszy.

I opowiedział, że niedawno temu, pasł się na wysepce koń chłopa z pobliskiej osady, że go zwietrzył myś, a spuściwszy się po stromym brzegu i przebrodziwszy odnogę rzeczną, rozdarł biedną szkapę, a następnie wywindował ją po stromym brzegu i uniósł do puszczy. Trudno było dać wiarę, aby wygłodzony i wychudły myś wykonał tę herkulesową pracę, lecz rozorony brzeg i ogromne spustoszenie między nadbrzeżną roślinnością, której się myś widocznie czepiał, wyłażąc kilka metrów pod górę, dawały wymowne świadectwo tej pracy. W kilka dni później zasiadł się chłop w lesie przy resztkach ubitej szkapy i zabił niedźwiedzia.

Podczas tego rozwlekle przeciąganego opowiadania, posuwaliśmy się szybko naprzód, a około południa byliśmy już w obrębie torfowisk, nęcących mysia swemi korzonkami. Mieliśmy tu przed sobą rozlegającą się daleko czarną puszczę, o 30 wiorst poza sobą ostatnią chatę chłopską. Dobiliśmy do brzegu, a wybrawszy stósowne miejsce w cieniu jodeł i świerków, spoczęliśmy tu, czekając na zbliżającą się noc. W około nas panowała uroczysta, tajemnicza, także w porze letniej północnym puszczom właściwa cisza. Ani jeden ptaszek nie przerwał jej swym spiewem. Słychać było jedynie plusk wody po kamieniach i szum puszczy, której drzewa gwarzyły o minionych wiekach.

Wieczór zapadał. Słońce ozłociło na chwilę szczyty świerków i znikło. Ale mimo ukrycia się słońca, bywa noc w tych stronach niemal tak jasną jak dzień.

Łowy się rozpoczęły. Zepchnięto czółno na wodę. Wracamy teraz z prądem. Jeden z niedźwiedziarzy stoi na przodzie z flintą w ręku, drugi siedzi na przeciwnym końcu czółna i steruje. Wiatr lekki wieje ku nam, rokując dobre spotkanie. Na każdym zakręcie rzeki wstrzymywaliśmy bieg czółna i przeglądali bystro urwiska brzegowe. I wkrótce ujrzeliśmy na jednym brzegu ciemną masę, która się tu i tam poruszała. Był to myś, wygrzebujący z ziemi korzonki. Podkradamy się bardzo ostrożnie, korzystając z głębokich cieniów brzegu, lecz niedźwiedź zwietrzył nas przecież, i nim zdołaliśmy dopłynąć na odległość strzału, potelepał do puszczy.

Nie pozostawało nam nic innego jak popłynąć dalej i wypatrzyć innego zwierza. Do wschodu słońca pozostawało nam jeszcze dwie godziny, a przed nami rozciągały się szeroko ulubione niedźwiedziom torfowiska. Ale daremnem było rozpatrywanie się nasze po brzegach. Ujrzeliśmy wprawdzie rena, lecz i ten czmychnał przed naszą łódką do lasu. Chcąc zabiedz temu rogaczowi na przesmyku, wysiedliśmy na ląd

i puściliśmy się w głąb lasu. Wtem doszło uszu naszych łomanie w krzakach. Nie ulegało wątpliwości, kto te hałasy wyprawia. Cofnęliśmy się więc czemprędzej, a spuściwszy się do połowy stromego brzegu, czekaliśmy na nadchodzącą bestyę.

Istotnie pojawił się niebawem myś na brzegu lasu. Zatrzymując się od czasu do czasu dla wygrzebania jakiegoś korzonka, szedł prosto na nas. Już był na 50 kroków — czas aby strzelić — ale memu niedźwiedziarzowi z profesyi żal było jeszcze prochu. Myś zbliżył się na 20 kroków. No, myślę sobie, wlezie wkrótce na lufę. Mój niedźwiedziarz, korzystając z sytuacyi i zaślepienia zwierza, chce go widocznie jednym strzałem położyć. Nie pierwszy to myś, któremu pigułkę ołowianą posyła, wie, gdzie mierzyć i trafić. Niedźwiedź nie był dalej jak na 15 kroków, gdy strzał ugodził go w głowę. Z okropnym rykiem wzniósł się na tylne łapy, padł w tył i stoczył się. Gdyśmy po dwóch minutach do niego przystąpili — już nie żył.

Ujrzawszy tę nędzną, wychudłą kreaturę z wytartym futrem, zapytałem mych towarzyszy, dlaczego o tej porze na niedźwiedzia polują? Przyznali, że ani skóra ani wychudzone mięso na nic się przydać nie mogą, ale jeden z nich dodał:

— No, Michałowi Iwanowiczowi trzeba dać nauczkę, żeby chłopskie bydło szanował. Jeżeli w ciągu lata choć z tuzin tych rabusiów natłuczemy, to jest spokój na pastwiskach.

Wróciliśmy do czółna i płynęliśmy dalej w nadziei, że jeszcze z jeden myś się trafi. I w istocie — zaledwieśmy wiorstę przebyli, dał znak niedźwiedziarz stojący na przedzie. Przybiliśmy do brzegu. Chłop, nie mówiąc i słowa, wyskoczył z łodzi i zapuścił się w las. Nie wiedziałem doprawdy, czemu sie bardziej dziwić, czy mnogości niedźwiedzi, czy odwadze tego chłopa, który z nędzną pojedynką w ręku szedł na spotkanie zgłodniałego drapieżcy, jak gdyby to był szarak lub kaczka.

— Chyba chodźmy za nim — szepnąłem do drugiego towarzysza.

— A na co? — odparł machając ręką — on sobie sam da radę.

Upłynęło pięć minut trwożliwego oczekiwania. Chłop ukazał się znów na brzegu lasu.

— Poszedł bestya! — zawołał, a w głosie jego nie było czuć żadnej trwogi tylko niezadowolenie.

Wschodzące słońce rzuciło właśnie swe blaski na korony drzew; odbiliśmy od brzegu, i wkrótce, płynąc z szybkością 10 wiorst na godzinę, znaleźliśmy się z powrotem w naszej wiosce.



Szkice z podróży i polowań w Afryce

przez

Antoniego Pisulińskiego.

(Ciąg dalszy).

Jesteśmy już teraz na terytoryum Angonich — w kraju Ngoni. Tutejsi Kafrowie zamieszkujący brzegi są jeszcze zawsze ci sami Mangandżowie, ale już nie pod władzą Makololów, lecz Angonich. Szczep ten przywędrował z południa i zająwszy ten kraj, wprowadził tu swoje prawa i zwyczaje. Są oni pochodzenia zuluskiego.

Maszerując wzdłuż brzegów Sziry w kierunku północnym, trzymamy się ścieżki, widocznie nie wiele uczęszczanej. Tu i tam wyrywają się nam z pod nóg stada pantarek, a okoliczność ta gniewa mię niezmiernie. Gdybym teraz miał ze sobą strzelbę śrutową, mógłbym je strzelać tuzinami; tymczasem muszę się zadawalniać samym ich widokiem i pocieszać nadzieją, że one jeszcze nie wyginą tak prędko, i że kiedyś z niemi się zobaczę i rozmówię inaczej.

W jednem miejscu, gdzie Szira zakreśla wielki łuk i tworzy rodzaj basenu, widzimy znowu wodę. Dotąd brzegi były tak zarosłe trzcinami, że dostęp do niej zdawał się być niemożliwym.

Tu woda jest głęboka i czysta jak kryształ, co sprawia widocznie wielką uciechę hipopotamom, bo pluszczą się od rana do nocy, i zabawiają prawdziwie po hipopotańsku. Dobry ich humor poznać po donośnym ryku, który się rozlega daleko po okolicy.

Po naszej i po przeciwnej stronie zielenią się kępy bananów, co zwiastuje, że wsie są już niedaleko. Na wschodzie widać teraz doskonale szczyt góry Zomba, z jego skalistemi urwiskami i przepaściami, a chociaż odległość w linii powietrznej wynosi do ośmnaście mil angielskich, zdaje się, że mamy górę tuż przed nami. Okoliczność ta da się wyjaśnić nadzwyczajną czystością tutejszej atmosfery, co już niejednokrotnie zostało skonstatowanem przez podróżników i myśliwych.

Gdyśmy się zbliżali do wsi, ludzie moi spostrzegli na horyzoncie stado sępów krążących nad jednym punktem. Jedni twierdzili, że to bawół ubity, drudzy, że słoń i rozpoczęli sprzeczkę z tego powodu, i byłoby niechybnie przyszło do bójki między dwoma zapaleńcami, gdybym był w czas nie zainterweniował i do porządku ich nie przyprowadził.

Wieś tutejszą rezprezentują trzy, czy cztery nędzne chaty. Przedstawiciele męscy, których tu na wstępie widzimy, równie nędzni, jak ich domostwa, wyciągnięci na matach, oddają się słodkiemu „dolce-far-niente“. Za to kilka kobiet z dziećmi, uwiązanemi na plecach, klęcząc nad kamieniami, które im służą za młynek, skrobią mąkę. Za naszem zjawieniem się umykają do chat, zostawiając mężom przyjęcie białego gościa.

Mandiok, sorgo i słodkie kartofle uprawiają tu podostatkiem, a trzcina cukrowa buja na brzegach do kolosalnych rozmiarów. Za kilka sznurów grubej „czitalaki“ [1]), których

[1]) „czitalaka“ — korale z białym oczkiem.

widok wywabił kobiety z ukrycia, kupiłem dostateczną ilość tych delikatesów dla siebie i moich ludzi.

Podczas tego Antonio rozlokował już „ulendo“. Siedzenie moje urządził w cieniu bananów, a kazawszy kucharzowi gotować obiad, przyszedł mi oznajmić, że tu będziemy spoczywali. Nie miałem nic przeciw temu, bo i sam byłem zmęczony, i ludzie nie bardzo chętni do dalszego marszu. Zresztą to była ostatnia wieś między rzeką a Utali, a wody nigdzie po drodze. Kazałem zatem rozdać racye ludziom, a sam zabrałem się do drzemki.

W godzinę obiad był gotów; przyniesiono mi go pod drzewo. Kukurudziana lemieszka — tak zwana „nsima“ — smakowała mi wybornie, chociaż wyznaję, że zapach jej nie był wcale zachęcającym. Mazarczyki — a szczególnie stary Antonio — twierdzili, że „nsima“ ta dobrą jest dla Mangandżów, którzy nigdy w życiu nic lepszego nie mieli i wzdychali za „mapirą“ [1]) — ryżem i „kisawi“. Zapewniałem ich, że na „kisawi“ im zbywać nie będzie, ale najpierw musimy upolować słonia, bo przecież po to tutaj przyszliśmy, po drodze zaś zwierzyny nie wiele — a i ta bardzo płocha.

— A czyż tu braknie „niamy“ [2]) — rzecze Martinio z podełba patrząc - trzeba tylko przed wieczorem pójść do lasu.

— „Nowala“ [4]) to doskonałe mięso — mówił drugi — nie mówić już o „nezefu“ [3]) lub „niati“ [5]).

— U nas nad rzeką, to przynajmniej człowiek ma rybę, a tu, u tych Mangandżów, nic, tylko czimanga [6]) i czimanga aż do obrzydzenia, i jeśli nasz muzungu czego nie upoluje, to przyjdzie nam umrzeć z głodu.

Tak dowodził Domingo, z przyciskiem wymawiając każde słowo, aby i mnie coś się z tego dostało.

Przysłuchiwałem się tym uwagom, udając że mię one bawią, w duszy jednak byłem zły na moich Mazarczyków, że już teraz się skarżyć zaczynają; co to będzie dopiero po miesiącu prawdziwego głodu i niewygód!

Tak spędziłem tu całe popołudniu; pod wieczór ruszyłem do lasu.

Tu trawy były wypalone, a drzewa ogołocone z liści; można zatem było zapuszczać wzrok w tajemnicze ustronia i polanki, gdzie spodziewałem się znaleźć zwierzynę. Śladów było mnóstwo, a przeważnie „nowali“, jednej z najpospolitszych a zarazem najzgrabniejszych antylop środkowej Afryki.

Drzewa rzucały już długie cienie, atmosfera ochładzać się poczęła — a jeszcze nic nie widziałem. Dopiero kiedym przechodził wyschnięte łożysko strumienia, stadko „nowali“ przemknęło się pomiędzy krzaki. Długie, wyciągnięte formy ich ciał znikły mi wkrótce z oczu, a gdy schylony patrzyłem ostrożnie za śladami — silne parsknięcie zwróciło na siebie moją uwagę.

Zatrzymałem się na miejscu. Cztery zebry, zwrócone ku mnie głowami, obserwowały moje ruchy. Kontury ich ciał ledwie były widoczne poza gmatwaniną gałęzi i gałązek; strzelać z tej pozycyi było prawie niemożliwem. Schyliłem się, aby strzelić po pod gałęzie, ale pierwszy mój ruch spłoszył stadko. Ruszyły z razu z kopyta, potem biegły kłusem, a kiedy się znalazły na otwartej polance, wolno iść poczęły oglądając się za mną. Wreszcie stanęły. Teraz mogłem już strzelić.

Zmieniwszy patron na inny z kulą ekspanzywną — której skutku chciałem na większem zwierzu doświadczyć — podniosłem karabin do ramienia i wypaliłem do najbliższej sztuki.

Po strzale dym zasłonił widok, a gdym trochę na bok skoczył, ujrzałem, że zebry pomknęły jak gdyby nic się nie stało. Ale nie poszły daleko. Biegły dwieście lub trzysta kroków i znowu stanęły. Podsunąłem się więc znowu do nich, lecz w chwili, gdy chciałem brać ich na cel po raz wtóry, spostrzegłem tuż obok pod krzakami moją zdobycz. Była już nieżywa.

Kula, którą jej posłałem, uderzyła między płuca i żołądek, i żeby nie to, że się rozerwała i rozdarła płuca, zebra byłaby umykała jeszcze daleko. Postanawiam od tego czasu używać kul ekspanzywnych.

Teraz świsnąłem na chłopaków, którzy pozostali byli w tyle za mną. Jednemu kazałem biedz do obozu i zawołać kilku innych, drugiemu pilnować łupu. Sam zaś — powoli — przekradałem się brzegiem lasu w nadziei, że jeszcze co upoluję.

Słońce było już na schyłku, przedmioty stawały się coraz mniej wyraźnemi, noc podzwrotnikowa nadchodziła szybkim krokiem. Dziwne kształty kopców termitowych łudziły moją wyobraźnię; zdawało mi się, iż rozpoznaję w nich kontury bawołów i antylop. Nareszcie całkiem się ściemniło.

Zawróciłem więc na ścieżkę i ruszyłem przespieszonym krokiem. Niestety nie wiedziałem dokąd idę; przypuszczałem jednak, że ku rzece. Ścieżka zacierała się coraz więcej i obawiałem się, że ją zgubię. I byłoby tak się stało niezawodnie, gdyby nie księżyc, który litując się nademną, wyjrzał z poza chmur i oświecił okolicę.

Późno w noc wrócili czarni z mięsem. Przynieśli je na drągach. Idąc z lasu spiewali głośno dla nadania sobie odwagi, a obcy, któryby to słyszał, musiałby wynieść wrażenie, że ci ludzie wracają z wesela jakiegoś, a nie z polowania. I w obozie radość ogólna, bo doczekali się upragnionego „kisawi“.

D. 19 lipca. W obozie wielka krętanina, bo ubiłem jeszcze dziś raniutko „nowalę“ — a więc mięsa mnóstwo. Ludzie krają je w długie pasy i umocowują po wierzchu swoich tobołków; cały plac ma wygląd wielkiej rzeźni. Tylne ćwiartki z antylopy zaasekurowałem dla siebie i oddałem pod specyalną opiekę Antonia, on zaś przyczepił je z dwóch stron swego karabina i zabrał na plecy niby konewki. Dobry to był znak; mogłem teraz już być pewnym, iż inni doń się nie dobiorą — a umiał on pilnować tego, na czem mu również zależało.

Dopiero w samą spiekę wyruszyliśmy w drogę, a wszystko z powodu mięsa, które nie wiedziano jak zabrać, a zostawić część — żal było. Prowadziłem dziś sam „ulendo“, bo strzelec Namondi, który zwykle na przodzie chadzał, tak był objuczony mięsiwem, że pozostał daleko w tyle. Antonio dotrzymywał mu towarzystwa.

Do Utali dobiliśmy się dopiero pod wieczór. W tem miejscu chcę pozostać czas dłuższy, wypada więc założyć wygodne obozowisko, czyli „msasę“.

Utali, jest to duża wioska, ale rozrzucona pośród lasu. Dokoła widać dobrze uprawne pola, przeważnie wzdłuż brzegów strumienia Riwi-Riwi, w którym podczas posuchy letniej wody prawie nie ma. Dość szerokie jego łożysko świeci teraz żółtym piaskiem, i tylko tu i tam widać zagłębienia, gdzie tutejsi mieszkańcy zbierają wodę. Trzciny, rosnąc przy

[1]) mapira — sorgo (*Sorghum vulgare*).
[2]) niama — mięso — zwierzyna.
[3]) nowala — antylopa z rodzajun *Aepiceros Melampus*.
[4]) nezefu — antylopa największa z afrykańskich *Ozeas Canna*.
[5]) niati — bawół.
[6]) czimanga — kukurudza.

brzegu. tworzą płot nie do przebycia, i gdyby nie siekiera, lub noga słonia i bawoła — człowiek by własną sztuką do środka się nie dostał.

Chaty rozrzucone są po prawym brzegu. Stoją one bądź grupami, bądź pojedynczo, a tu i tam widać rodzaj strażnic na wysokich palach do pilnowania ogrodów. Ostrożność ta jest konieczną, inaczejby stada bawołów, które tu zachodzą nocą, zniszczyły plon do szczętu.

We wsi cisza — jak gdyby wszystko spało. Zaledwie czasem przemknie się jakiś dzieciak z chaty do chaty, lub kobieta wracająca z wodą od strumienia. Mężczyzn całkiem nie widać.

Zatrzymałem się przede wsią, bo nieobecność Angonich wydała mi się podejrzaną. Wieś murzyńska nie zostaje nigdy bez opieki silniejszej połowy — chyba podczas wojny, ale wtedy dzieci i kobiety bywają ulokowane w miejscu bezpiecznem. Wysłałem też kucharza na zwiady.

Powrócił wkrótce z miną wesołą, i uwiadomił nas, że ludność męska poszła na zarobek do plantacyi w Zamba, i nie powróci, aż z nowym księżycem.

Kobiety i dzieci, które zrazu pochowały się po chatach i w trawy, poczęły teraz wyłazić z ukrycia. Widok białego już ich nie przestraszał więcej; dowiedzieli się od Martinia, że to jest „ingleze".i przychodzi tu tylko na łowy. Pokazała się też „maronda", a plac, któryśmy tymczasem zajęli pod drzewem, zamienił się w jednej chwili w prawdziwe targowisko.

Kobiety starsze z dziećmi na plecach, dziewczęta, któreby u nas nosiły miano „na wydaniu", oraz liczna drużyna wyrostków płci obojga — okoliła nas czarnym pasem. „Maronda" pchała się nawet do namiotu, a właściciele tejże przypatrywali mi się już z bliska, robiąc sobie uwagi całkiem nie po cichu.

Prawie wszystkie dziewczęta i kobiety poubierane były w skórki małych zwierząt. Rzadko u której widać było fartuszki z łyka drzewnego, a tylko dwie lub trzy posiadały spodniczki europejskiego wyrobu. Nic więc dziwnego, że z pewną zazdrością spoglądały na moich chłopaków, których zdobiły kolorowe chustki w kwiaty i zwierzęta. Najbardziej musiał im imponować sam Antonio, bo był odziany w wełnianą koszulę i kapelusz filcowy, na którym — niby welon — powiewał kawał perkalu czerwonego.

Te objawy elegancyi u starego zaniepokoiły mię niemało, zwłaszcza, iż w zwykłych stosunkach mało dbał o swoją powierzchowność. Miałem go w podejrzeniu, iż chce skorzystać z nieobecności małżonków i jakiej z tutejszych piękności służyć tymczasowo za rycerza; te panie zaś ze swej strony nie okazywały wstrętu na umizgi tego podstarzałego adonisa, ale raczej zalotnem swem zachowaniem się zdawały go ośmielać do tego. Ponieważ i inni z moich ludzi mieli miny zanadto mądre, więc zrozumiałem, że ich trzeba mieć na oku i niedopuścić do wybryków, za którebyśmy głową nałożyć mogli, bo Angoni w takich razach nie pardonują. Postanowiłem też zaraz złemu zaradzić.

Skoro z „marondą" się uporano, a czarne nimfy po chatach się rozeszły, zawołałem Antonia i przedstawiłem mu rzecz całą. Oskarżyłem go o to, iż daje swojem nietaktownem postępowaniem zły przykład młodym, i zagroziłem wydaleniem ze służby, gdyby obawy moje jakąkolwiek znalazły podstawę.

Trzeba było widzieć zafrasowaną jego minę. Składał ręce na piersi, klaskał w dłonie, powoływał się na swoje siwe włosy, a to z taką pokorą, iż niedoświadczony Europejczyk naprawdę by uwierzył, że człowiek ten nigdy w życiu podobnych nie miał zamiarów. Ale ja go znałem lepiej; wiedziałem, iż na tym punkcie zaufać mu nie można, i przyrzekłem sobie noc całą osobiście straż trzymać. Żadnemu z ludzi nie wolno było wydalić się obozu bez opowiedzenia się pod grozą utraty jednotygodniowej zapłaty.

Cisza się zrobiła w obozie, skoro wieść o tem postanowieniu pośród mej bandy się rozniosła. Pospuszczali nosy na kwintę i dla zabicia troski wzięli się do wieczerzy.

Ja tymczasem rozłożyłem się na łożu. Patrzałem przez odchylone skrzydła namiotu na siedzące przy ogniskach postacie, i ważyłem w myśli rozmaite projekty. Zrazu wydało mi się najlepszem wracać napowrót nad dolną Szirę i polować tam, gdzie już słonie po raz pierwszy widziałem, potem znów chciałem iść dalej na zachód i w górach obozem się rozłożyć, w końcu i tu pozostać, tylko na pewną odległość od wsi się usunąć.

Za tym ostatnim projektem przemawiało wiele względów. I tak np. szkoda mi było czasu, który już tu strawiłem i tych marszów, które nie były igraszką, a wreszcie i to, że bądź co bądź okolicy dotąd nie poznałem, zatem dokładnego wyobrażenia o stanie zwierza gruboskórnego mieć nie mogłem. Najważniejszą okolicznością było to, iż tu mogłem łatwiej wyżywić moją drużynę, o co bardzo trudno w kraju, gdzie wsi niema, a zwierzyna nieliczna.

Bijąc się tak z myślami — ubrany usnąłem. Gdym się obudził, zupełna cisza w obozie przekonała mię, że już późno. Na wpół skostniały zerwałem się na nogi, bo przypomniałem sobie o mojej warcie. Poszedłem przekonać się, czy kogo nie brakuje. Wszyscy jednak spoczywali w śnie głębokim. Groźba widocznie poskutkowała. C. d. n.

Nowe gatunki prochu.

W ostatnich czasach zabrano się, szczególniej w Anglii, do fabrykacyi nowych gatunków prochu strzelniczego, nietylko dla wojska, lecz także dla myśliwych, osobliwie do nabojów śrutowych. Idzie mianowicie o wydobycie większej szybkości początkowej śrutu, a o mniej dymu i mniej hałasu, niż przy użyciu zwykłego prochu czarnego.

Z pomiędzy tych nowych, t. z. „nitro-prochów", są w Anglii najbardziej znane: proch Szulcego i proch oznaczony literami E. C. *(E. C. Gunpowder)*. Używają ich do nabojów śrutowych i do broni kniejowej na podchodne.

Proch Szulcego jest właściwie niemieckiego pochodzenia. Znany już od lat 30-tu ma tę wadę, że wilgotnieje

w porze deszczowej, a jeśli się zwilgotniałego patronu całkiem dokładnie nie wysuszy, to potęguje się jego siła wybuchowa do tego stopnia, że nawet lufy rozdziera. Aby temu zapobiedz i uczynić proch wytrzymałym na wpływy wilgotnego powietrza, wyrabia obecnie *Schulze-Powder-Company* proch, którego ziarnka powleczone są chroniącą od wilgoci glazurą. Udoskonalenie to jest wszakże zbyt nowe, ażeby już można było o wartości jego ostateczną dać opinię.

W ślad za Anglią począł i na kontynencie tu i ówdzie wchodzić w życie *E. C. Gunpowder*. Jest to jedna z najlepszych kompozycyj strzelniczych, ale ma również wadę psucia się w wilgotnem powietrzu.

Oprócz tych dwóch gatunków nitro-prochu, pojawiają się na widowni inne pod nazwami: „kordyt", „kannonit" i „proch Walsroda".

„Kordyt" jest prochem bezdymnym; zaprowadzono go w armii angielskiej. O prochu tym pisał przed kilku miesiącami jeden z korespondentów „Fielda" co następuje:

„Używając magazynowej strzelby Lee-Metforda, której konstrukcya zbliża się najbardziej do konstrukcyi Manlichera, mamy przy zwykłym naboju czarnego prochu strzelniczego początkową szybkość 1850 stóp na sekundę. Szybkość ta jest tak stałą, że można prawie zawsze na pierwiastkowem ustawieniu wizyra polegać. Zresztą czarny proch strzelniczy nie przedstawia niebezpieczeństwa rozerwania broni, nie ulega zmianom pod wpływem temperatary i wilgoci atmosferycznej, nakoniec nie psuje luf. Kordyt natomiast, który obecnie w armii angielskiej zaprowadzono, nie jest tak pewnym. Należy przy nim zwracać uwagę na nagłe zmiany temperytury, gdyż w pewnych, nie dających się nawet bardzo ściśle określić okolicznościach, wybuch prochu jest za silnym, ciśnienie gazów na ściany luf nadzwyczajne, w skutek czego broń się psuje lub nawet bywa rozrywaną.

„Przy kordycie wynosi początkowa szybkość pocisku 1975 do 2000 stóp na sekundę, ale nie jest stałą, i nawet przy najkorzystniejszych warunkach temperatury może się o 100 stóp różnić. W jednem ze sprawozdań angielskiej komisyi wojskowej dla broni palnej sprawdzono, że w karabinie Manlichera, z którego dano 1000 strzałów przy użyciu kordytu, zmniejszała się znacznie i stale szybkość początkowa. Było to skutkiem ciągłego i postępującego wyżerania wewnętrznych ścian lufy. Przy użyciu prochu czarnego sprawdzono natomiast stałą, nie zmieniającą się szybkość początkową 1850 stóp na sekundę, a tem samem trafność strzału nawet na najdalsze odległości. Proch czarny jest zatem pewniejszy i bezpieczniejszy pod każdym względem tak dla broni wojskowej jak i myśliwskiej."

„Kanonit" wygląda tak samo jak czarny proch strzelniczy. Wyrabia go od niedawna fabryka w Waltham, niedaleko Londynu. Ajentami, którzy objęli sprzedaż tego artykułu, są znani fabrykanci czarnego prochu strzelniczego John Hall i syn, zamieszkali przy Cannon-Street w Londynie. „Cannonite" jest taką nowością, że o wartości jego nie ma jeszcze dotąd wyrobionego sądu. Przed trzema miesiącami robiono z kanonitem próby na strzelnicy, a sprawdzenie, które z tych prób podał „Field" d. 9. marca, mówi co następuje: „Próbowaliśmy równocześnie proch czarny i kanonit; strzelaliśmy z dubeltówki cal. 12 na 40 yardów (około 36 metrów) śrutem nr. 6 do tarczy o średnicy 30 cali ang. Przy tych próbach sprawdzono przy użyciu prochu czarnego szybkość pierwotną śrutu na 833 stóp, a przy użyciu kanonitu szybkość pierwotną śrutu na 835 stóp na sekundę. Nabój z prochem czarnym zostawił w przecięciu 177 ziarn śrutu, a nabój z kanonitem 204 ziarn w tarczy. Od wielkiego gorąca i wilgoci ma kanonit bardzo mało cierpieć. Rozgrzewaliśmy kanonit przez 12 sekund w temperaturze 120° Farenheita (40°R.) i sprawdziliśmy następnie tylko bardzo nieznaczne wzmożenie się ciśnienia gazow na ściany lufy. Do nabojów próbnych używaliśmy po 82 granów (5·9 gramów) prochu czarnego a po 37 granów (2·7 gramów) kanonitu, na tę samą ilość, tj. $1^1/_8$ uncyi (40 gramów) śrutu. Kanonit należy zatem do tych skoncentrowanych nitro-prochów, które zajmują znacznie mniej miejsca w naboju — a gdyby się miał utrzymać w użyciu, to musiałyby skutkiem tego i patrony i łożyska patronowe w strzelbach być w przyszłości znacznie krótsze.

Proch Walsrode'a mało jest jeszcze znany. Tyle tylko wiadomo, że założono fabrykę pod nazwą: *Patent Walsrode Smokeless und Waterproof gunpowder-Company.*

Pomimo, iż niektóre z tych nowszych prochów, a przedewszystkiem proch Szulcego i *E. C. Gunpowder* znacznie się w Anglii rozpowszechniły, są jednak dotąd konserwatyści, którzy tym nowym kompozycyom wybuchowym nie dowierzają i stale nad nie czarny proch strzelniczy przenoszą. Niedawno zamieścił był *Field* w sprawie tej następującą korespondencyę:

„Doświadczenie uczy, że nawet w klimacie W. Brytanii, która stosunkowo na niewielkie zmiany temperatury jest wystawioną, nie łatwą jest rzeczą oznaczyć ściśle wymiar i najlepszych nitro-prochów, ze względu na działalność ich wybuchową i ciśnienie, wywierane na łuskę nabojową, na ściany lufy i cały system broni. Tej złej strony nie ma właśnie proch czarny, gdyż nie ulega wpływom zmian w temperaturze. Nitro-prochy są istotnemi masami wybuchowemi i dlatego posiadają mniejszą siłę wyrzucania pocisku w ścisłem tego słowa znaczeniu, bo nie prą głównie ku wylotowi lufy jak proch czarny, lecz wywierają ciśnienie na jej ściany. Nie dająca się nigdy należycie obliczyć siła tego ciśnienia, nawet przy ładunkach tej samej wagi i przy tych samych warunków ciepłoty atmosferycznej, czynią zawsze prochy te materyałem niepewnym, na który się spuścić nie można." Przy użyciu nitro-prochów nie można zresztą poprzestać na mierzeniu prochu miareczką, chcąc robić naboje, lecz trzeba go ważyć, gdyż nie zawsze ta sama miara ten sam ciężar okazuje. „Zauważyliśmy — pisze w tym samym względzie *Field* — że nawet miarka czarnego prochu, która zazwyczaj 5·3 gramów ważyła, wykazała ciężar 5·8 gramów, gdyśmy użyli prochu z tej samej fabryki póżniej nadesłanego. Przy próbach czynionych z prochem E. C., pokazało się, że miarka napełniona fabrykatem z r. 1893 ważyła 45 granów (3·24 gramów), podczas gdy ta sama miarka napełniona fabrykatem z r. 1894 wykazała jedynie ciężar 40 granów (2·9 gramów)". *Field* wyciąga stąd przestrogę, że każda nowa przesyłka nitro-prochu powinna być starannie co do stosunku miary do ciężaru zbadaną, bo różnice bywają znaczne, a zatem wzrasta niepewność użycia patronu. Ilość tych gatunków prochu nie powinna przenosić 37 do 40 granów (2·7 do 2·9 gramów).

E. C. Gunpowder grozi wyrugowaniem czarnego prochu strzelniczego, a to z powodu, że strzelba nabita tym prochem mniej uderza, strzał jest cichszy i znacznie mniej dymu wydaje. Używają go wszakże tylko do patronów śrutowych; do sztućców i do kul zawsze jest jeszcze czarny proch używany. Tak postępuje znakomita firma ruszników Pudrey & Son, tak samo firma Grant & Son, z tą jedynie różnicą, że do nabojów śrutowych używa prochu Szulcego. Firma Holland & Holland stoi stale przy prochu czarnym dla nabojów sztućcowych; przy nabojach śrutowych rzadko

już kiedy upominają się jej odbiorcy o proch czarny, dają więc E. C. Gunpowder lub proch Szulcego. Sam p. Holland nabija sobie lewkę czarnym prochem, a do prawki używa prochu Szulcego, bo mniej daje dymu, a przeto łatwiej dozwala rozpoznać skutki pierwszego strzału.

Cenne zatem i wielce ważne są nowe środki wybuchowe do broni palnej, ale z dawnym, poczciwym, czarnym prochem strzelniczym jeszcze się świat myśliwski wcale nie pożegnał.

J. Z.

KORESPONDENCYE.

Skała dnia 2. maja 1895.

(Stan zwierzyny i stosunki łowieckie w obrębie okopów św. Trójcy.)

Szanowny autor korespondencyi, umieszczonej w Nrze 2. „Łowca“, pod tytułem: „Niezwykłe polowanie“, opisując bardzo zajmująco malownicze okolice na kresach naszego kraju ponad Dniestrem i Zbruczem, przypomniał mi, że i ja chcąc być wiernym przyjacielem „Łowca“, winieniem, od czasu do czasu, dać tego dowód, choćby krótką korespondencyą.

Wprawdzie na usprawiedliwienie opieszałości wystarczyłoby powiedzieć: brak czasu, brak tematu; jednak wolę już przyznać się do winy, niż przytaczać takie argumenta, jakie w obec przysłowia: „chcącemu nie ma nic niepodobnego“ — miejsca mieć nie powinny.

Nie mogę opisywać tak świetnej biesiady myśliwskiej, o jakiej wspomina powołana korespondencya, lecz niech mi będzie wolno cofnąć się pamięcią w przeszłość, a to tem bardziej, że zamierzam poprowadzić łaskawych czytelników przez tą samą okolicę, której i szanowny autor wspomnianej korespondencyi opis swój poświęcił.

Czytam w tej korespondencyi, że niedaleko Zbrucza ciągnie się tu t. zw. „wał Trojana“. Może być, że Trojan, pokonawszy Decebala i przyłączywszy do państwa rzymskiego Dacyę, aż po Tyras, t. j. po Dniestr, i tu wały graniczne sypał — nie sądzę wszakże, ażeby z tych wałów wiele pozostało. Wały zaś, o których szanowny autor wspomina nie są dziełem Trojana, lecz szczątkami okopów, wzniesionych w epoce świetnych błysków oręża polskiego w czasie wojen z Turkami. Wzniesiono je na rozkaz króla Jana Sobieskiego w r. 1692 pod nazwą „Okopów św. Trójcy“ i z nich to podchodził hetman wielki koronny Stanisław Jabłonowski kilkakrotnie pod Kamieniec podolski, będący naówczas w rękach Turków. Wewnątrz tych szańców, dziś już zniszczonych, mieści się małe miasteczko, znane pod nazwą Okopy.

Hetman, budując twierdzę na wązkim skalistym pasie ziemi, powstałym przy ujściu rzek Zbrucza i Dniestru, a tworzącym wzniesienie na paręset stóp wysokie, będące dziś ostatnim krańcem Galicyi od strony Besarabii, uznał za stosowne zabezpieczyć twierdzę wałami po stronie, gdzie ów pas ziemi co raz więcej się rozszerzał. Kierunek i szczątki, gdzieniegdzie dziś jeszcze 20 do 25 stóp wysokich wałów, w kilku miejscach jeszcze widocznych, wskazują najwyraźniej, że całe to międzywale, zasiane obecnie gęsto wioskami, było niegdyś wielkim, w nierówny czworobok założonym i z trzech stron wałami zabezpieczonym obozem.

Pierwszy wał, obecnie już prawie na całej przestrzeni rozrzucony i na pole użyty, zaczynał się pod wsią Zalesie, w pobliżu znajdującego się nad Zbruczem małego lasku, zwanego „Siemincze“ i ciągnąc się tuż koło wsi Germakówki, przecinał na przestrzeni 10 do 12 kilom. w prostej linii na poprzek wyżej opisany pas ziemi od Zbrucza aż do Dniestru i kończył się w pobliżu, położonego nad brzegiem Dniestru miasteczka Uście biskupie. Drugi zaś wał, ten właśnie, który szanowny korespondent oglądać miał sposobność, porośnięty dziś lasem, brał swój początek także od Zbrucza, a to między wsiami Zalesie i Nowosiółka, na jednym z licznych zakrętów, jakie rzeka Zbrucz w tych miejscach dość gęsto zatacza, tworząc małe półwysepki, które lud prosty zowie „kolanami“, a nadto stosownie do wyglądu nadaje im różne nazwy, jak: „Wołowy pysk, Wapniarka, Sokołów“ i t. d. Rozmaita wielkość i kształty tych półwysepek, ozdobionych widniejącemi w oddali, leżącemi za Zbruczem pięknemi ruinami niegdyś obronnego zamku koło Czarnokoziniec, składają się w kilku miejscach na widok iście czarujący.

Ten drugi wał, odcinając wzmiankowane „kolana“, ciągnął się również w linii prostej, lecz już nie na poprzek w mowie będącego pasa ziemi, tylko niejako pod kątem prostym do pierwszego wału ku miasteczku Kudryńce górne, wzdłuż Zbrucza ku ujściu tej rzeki i w prostym kierunku do drugich, lecz o wiele piękniejszych, niż Czarnokozinieckie, ruin zamku, położonych na stromej skale w pobliżu Kudryniec. Czyli wał ten był usypany nieprzerwanie na całej przestrzeni od Nowosiółki aż do Kudryniec, obecnie skonstatować trudno; można jednak przypuszczać, że owałowanie było wzniesione tylko w tych miejscach, gdzie od strony Zbrucza mógł być łatwy przystęp dla konnicy nieprzyjacielskiej, gdyż łańcuch stromych skał, ciągnący się wzdłuż Zbrucza od Zalesia aż do Okopów, nawet w dzisiejszych czasach stawia na wielu punktach nietylko dla konia, ale i dla pieszego człowieka nieprzebytą zaporę.

W Kudryńcach przerywa i zaciera się ten wał do tego stopnia, że nawet kierunku, którędy był prowadzony, odgadnąć niepodobna.

Dopiero około 1.500 kroków dalej za Kudryńcami, przy końcu łańcucha dość wysokich skał przezwanego „Cyplem“ i ciągnącego się wzdłuż polanki, zwanej przez lud miejscowy „Lewadą“, powstałej wskutek zmiany koryta rzeki Zbrucz, występuje przerwany wał ponownie w całej pełni i idzie znowu w prostej linii powyżej wsi Zawala ku Paniowcom, gdzie w lesie dalszy ślad już zupełnie znika.

Trzeci wał, również lasem porośnięty, ukazuje się dopiero o milę dalej za wioską Wygoda boryczkowiecka i przecina tak samo, jak pierwszy, zwężający się w tem miejscu szmat ziemi na poprzek od Zbrucza aż do Dniestru.

Z tego wału widać już jak na dłoni, w oddaleniu 2 do 3 kilometr. cudnie piękne ruiny dawnej warowni „Oko-

py". Po prawej stronie Dniestru, rysuje się na nieboskłonie sławny w dziejach Polski Chocim, a wprost od Okopów poza Zbruczem, wiednieje na płaszczyznie miasteczko Żwaniec, którędy prowadzi droga do Kamieńca podolskiego.

Czwarty bok opisanego obozu od strony Dniestru nie musiał być obwarowanym, gdyż nigdzie na ślad wału natrafić nie można i zdaje się, że szerokość i głębokość tej rzeki, oraz bardzo strome brzegi uważano za dostateczną obronę.

Otóż z położenia tych wałów wnosić można napewne, że opisany wał, znajdujący się pod Germakówką, był pierwszą, a ostatni drugą linią obronną w czasie istnienia warowni, zwanej „Okopami św. Trójcy", z której pozostały dziś tylko kawały w czworobok szeroko ułożonego muru i dwie kamienne bramy, sterczące jak kościotrupy olbrzymów, niejako na dowód, że na świecie wszystko znikome.

Dwieście lat na zegarze czasu, zdaje się nie dużo, a jakaż straszna różnica. Tam, gdzie skrzydlaty husarz uganiał się za pohańcem, gdzie pogromiony Tatar i Turek wył, jak wilk: „Ałłah! il Ałłah!" rozlega się dziś grzechot odtylcówek, a zamiast Tatara, wyje naganiacz: „Hu! kot ha! Hu! kot ha!"

Ale dajmy pokój porównaniom, bo nietylko czas za lat dwieście dzieła ludzkie zmienia, ale nawet sam człowiek w krótkim czasie lat dwudziestu wiele złego lub dobrego wyrządzić jest w stanie.

Przed dwudziestu laty przebywałem dłuższy czas w obrębie wyżej opisanych wałów i bywałem jako gość na polowaniach w Kudryńcach, Zawalu, Paniowcach i Mielnicy. Właściciel Kudryniec i Paniowiec nie był myśliwym, a właściciel Zawala mieszkał za granicą, w skutek czego gospodarka łowiecka nie zawsze biegła właściwym torem i przechodziła często w fazę, jak Rusin powiada: „z Petrowoho dnia". Jednak, mimo niedołężnie prowadzonej gospodarki łowieckiej, padało na polowaniach prawie zawsze po czterdzieści do pięćdziesiąt zajęcy.

Sarny gościły tylko w kniei Kudrynieckiej, lecz były o tyle ostrożne, że prawie nigdy nie przychodziły pod lufę. Zato z wilkiem, zabiegającym z Rosyi na spoczynek między szańce św. Trójcy, można było spotkać się częściej.

Jedynie właściciel Mielnicy, Mieczysław hr. Borkowski, jako myśliwy, otaczał zwierzynę prawdziwie ojcowską pieczołowitością i doprowadził do tego, że w małym stosunkowo lasku pod Mielnicą, powstała istna pepiniera zajęcy, podczas polowania można tam było na jednem stanowisku ubić cztery do ośm sztuk, a ostatecznym rezultatem polowania była zazwyczaj setka.

Klucz dóbr Germakówka należał w owym czasie, t. j. dwadzieścia lat wstecz, do księcia Blüchowa, który mieszkając zagranicą, nie bardzo dbał o zwierzynę, ale był o tyle nie złym sąsiadem, że takowej niszczyć nie pozwalał i nie dawał hrabiemu Borkowskiemu powodu do uskarzania się w tym sensie, jak ongi ranny szlachcic królowi Łokietkowi po bitwie pod Płowcami, że nie tyle cierpi od rany, ile od złego sąsiada.

W takim składzie rzeczy, ogólny stan zwierzyny, acz nie wzrastał tak szybko, jak u dzisiejszego właściciela Germakówki, gdzie jeden myśliwy ubija czasem na jednem stanowisku dwadzieścia kilka sztuk — to przynajmniej utrzymywał się w równej mierze i był nawet zadowalniający, jak to następujące zdarzenie udowodni.

Przypominam sobie jedno z polowań w Kudryńcach górnych, gdzie po całodziennym trudzie znalazło się na rozkładzie zaledwie kilka zajęcy, a mimo to, przy podziale łupów myśliwskich między matadorów, liczba ubitej zwierzyny wzrosła niepojętym sposobem do wysokości przeszło trzydziestu sztuk. Rzecz miała się następująco:

Z powodu zadymki śnieżnej zjeżdżali się myśliwi dość leniwo na punkt zborny do miasteczka Kudryniec. Gdy się nareszcie znaleźli w komplecie, ruszyliśmy bez zwłoki do lasu i natychmiast rozpoczęli polowanie. Na śniegu nie było wprawdzie żadnych tropów, ale mniemając, że je śnieżyca pozasypywała, byliśmy prawie pewni, że zajęcy znajdzie się dosyć.

Tymczasem w pierwszym miocie był tylko jeden basior, który uznał za rzecz dobrą nie robić znajomości z naszemi strzelbami, i wymknąwszy się z otaczającego go łańcucha naganiaczy, przekopał się w głębokim śniegu tam skąd przyszedł — do Rosyi — następne zaś mioty były przeważnie puste, do tego stopnia, że do 4-tej godziny po południu, padło wszystkiego zaledwie kilka zajęcy, do których strzelali prawie wszyscy myśliwi z przyczyny, iż zwierz, zapadając się głęboko w śniegu, nie mógł szybko uchodzić, ale zato wyskakując w górę jak z procy i zanurzając się ponownie w sypkim śniegu, powodował chybne strzały.

Jakoż humory myśliwych były bardzo kwaśne, tak dalece, iż jeden ze starszych, najbardziej zmęczony i zdegustowany myśliwy, zawołał z goryczą:

— Panowie! szkoda zachodu, wracajmy do domu!

Nie namyślając się długo, wsiadło kilku myśliwych na przygotowane pod zwierzynę sanie i odjechało z gospodarzem polowania do miasteczka, gdzieśmy się poprzednio zbierali.

Ponieważ na jednych saniach zabrakło miejsca dla wszystkich, więc ja i kilku jeszcze myśliwych pozostaliśmy w kniei i wracaliśmy pieszo. Gdyśmy z lasu wyszli, miało się już ku zmrokowi, przeto chcąc skrócić drogę, która dość dalekie półkole zataczała, postanowiłem przejść w prostym kierunku od lasu do miasteczka i w tym celu skierowałem kroki ku wspomnionym już powyżej ruinom obok Kudryniec. Zaledwie uszedłem kilkadziesiąt kroków uboczą góry, zasianej małymi krzaczkami, których tylko wierzchołki po nad śnieg wysterczały, wyskoczył tuż przed mojemi nogami zając, którego dojrzeć nie byłem w stanie, gdyż był śniegiem zasypany. Zerwałem strzelbę z ramienia i strzeliwszy, straciłem go z oczu, lecz zobaczyłem go znów za chwilę, jak w pociesznych podskokach, nurzając się w śniegu aż po słuchy, uchodził dalej. Strzeliłem tedy po raz drugi i padł, nurzając się w śniegu tak, że go wcale nie było widać.

— Winszuję panu dublety! — zawołał za mną jeden z myśliwych.

— Jakiej dublety? — zapytałem zdziwiony.

— A no, wszak pan strzelałaś do dwóch zajęcy! — odparł towarzysz.

Pokazało się, że w istocie miał słuszność, gdyż ze śniegu wygrzebałem dwa zające, z których pierwszy, padając z dymem, wyruszył drugiego.

Po tej niespodziance weszliśmy wszyscy razem wraz z naganiaczami płotem między rzeczone krzaczki i ubiliśmy na przestrzeni, mającej najwyżej kilkaset kroków w kwadrat, dwadzieścia kilka zajęcy: o czem reszta myśliwych dowiedziała się dopiero przy podziale zwierzyny.

Zapyta kto może: „A cóż tam musi się dziać obecnie? skoro właściciel sąsiedniej kniei, stara się tak usilnie o podniesienie stanu zwierzyny? Odpowiem krótko: Gorzej! W Kudryńcach, jak słyszałem, pada w dzisiejszych czasach na polowaniu zaledwie kilkanaście zajęcy, a w Paniowcach,

jak powiada Mazur: „nie uświadczy gawiędnika“ inaczej chyba na ponowie, gdy w trop za nim pójdzie.

A przecież musi być jakiś ważny powód tak niekorzystnego zwierzostanu, zawoła nie jeden miłośnik zwierzyny. O, jest! Na pozór jest to powód bardzo błahy, a jednak waży na szali gospodarstwa łowieckiego bardziej, niż morderczy ołów. Oto właściciel Kudryniec i Paniowiec nie jest wcale myśliwym. Zwierzyna dla takiego właściciela nie przedstawia ponęty, „geszeftu“, więc też o nią nie dba i pozwala polować każdemu, komu się podoba, nie wyłączając nawet służby leśnej.

Wprawdzie właściciel Germakówki, Władysław hr. Baworowski, nie szczędził i nie szczędzi starań i doprowadził wreszcie do tego, że obecnie w szańcach św. Trójcy w braku skrzydlatych rycerzy, mogą przebiegać dość liczne hufce szablastych odyńców i harcować swobodnie liczne zastępy sarn i zajęcy — lecz w obec otaczającej niektóre rewiry granicy rosyjskiej z jednej, a apatyi sąsiada — nie myśliwego — z drugiej strony, musi rad nie rad oddawać zwierzyna wysoki haracz sąsiadom, przeciw którym nie pozostaje już żadna inna obrona, chyba w modlitwie: „Od głodu, ognia, wojny i złego sąsiada, zachowaj nas Panie!“

Seweryn Kisielewski.

Makuniów, 5. maja 1895.

(Z toku cietrzewi.)

Są w życiu myśliwego chwile tak piękne, że długo niezatarte pozostawiają wspomnienia — wspomnienia doznanych wrażeń, silnych, pięknych, bo nie sztucznych, ale naturalnych, jakich tylko przyroda sama dostarczyć jest wstanie. Myśliwy w takiej chwili na jakiś czas przestaje być samym sobą, odrywa się od ziemi, podziwia naturę, zdumiewa się nad jej pięknem, ręce ze strzelbą na dół opuszcza, o strzale nie myśli, chce, by tylko to zjawisko jak najdłużej trwało; zachwyt taki trwa chwilkę, ale starczy na lata całe.

Takie i ja to odniosłem, dni kilka temu, wrażenia, gdy poraz pierwszy w życiu tokującego cietrzewia usłyszałem; więc biorę za pióro, by dać choć słabe pojęcie o tem pięknem polowaniu tym, którzy jeszcze tak szczęśliwymi jak ja nie byli, choć trudno opisać to dokładnie, co się widziało i słyszało.

Dzięki uprzejmemu zaproszeniu pana Jana Urbańskiego, przybyłem do niego do Poddębiec dnia 30. kwietnia w nocy, a w pół do 3-ciej rano byłem już w budce z gałęzi i choin zrobionej, położonej na małym pagóreczku nad zrębem i łączką. Ciemno było jeszcze zupełnie, na wschodzie jednak niebo już jaśniało a gwiazdy bladły. Nic piękniejszego, jak ten pierwszy brzask dnia w lesie. Obudza się świeża woń drzew i krzewów skropionych kroplami rosy, oddychasz nią z rozkoszą, czerpiesz z niej młodość, zdrowie i siły. Lecz dnieć już zaczyna — puszczyk, gdzieś w oddali, żegna noc żałośnem wołaniem i do snu się sadowi, kozioł kilka razy ryknie jeszcze — i cicho, lecz ptaszki jakieś małe zaczynają świegotać, muszki brzęczeć, przeciągnie cyranka, kszyk zaskrzeczy nad głową i życie leśne się budzi.

Nagle, gdzieś z daleka odzywa się głos, na który drgnie myśliwy, choć nie wie z kim ma do czynienia, bo głos to dziwny, jakiego jeszcze w życiu nie słyszał, rzekłbyś podobny to do syku węża, to do przeciągłego kichania. To cietrzew, książę lasów. Ojciec kogut ze snu wstaje i daje hasło poranne. Głos ten zostaje bez odpowiedzi — więc krzyczy znowu, a za chwilę odpowiada mu już drugi, trzeci i dziesiąty ze wszystkich stron i czujesz, że się te głosy do ciebie przybliżają. Do nich miesza się jeszcze głos inny, do cichego bełkotania indyka lub plusku wody podobny. Wszystkie inne ptaki zdumione milkną z uszanowaniem, nie chcąc snać panom w zabawie przeszkadzać. Lecz cietrzewie przyszły do budki już tak blisko, że słyszysz łopotanie ich skrzydeł; serce ci bije młotem, wzrok wytężasz, kręcisz głową jak sowa, gdy nie dobrze coś widzi — ale nie widzisz nic — jeszcze za ciemno. Tymczasem kogutów schodzi się coraz więcej, niektóre ci z szumem nad głową przelatują i siadają gdzieś blisko koło ciebie, a ty nie widzisz nic, żałujesz, żeś się rysiem nie urodził, że kocich nie masz oczu. Ale dnieje coraz lepiej, widzisz już czarne ruchome punkty, o strzale wszakże i mowy jeszcze nie ma.

Wtem turniej się już rozpoczyna—chciwe miłości koguty walczą, co im sił starczy; jest to walka, w której nie dwie partye się spotykają, ale każdy walczący jest wrogiem wszystkich innych. Walka wre na dobre; słychać syki nienawiści, wybuchy gniewu, okrzyki skargi, bolu, przekleństwa i ciche miłośne bełkotanie. Kurki błąkają się około pola walki i zachęcają do zwycięztwa swych rycerzy. Na koniec już dzień — widzisz te piękne ptaki z rozpostartemi skrzydłami i ogonami, biegające sztywnie w półkole jak indyki, i skaczące do siebie na metr wysoko. Trwa to jeszcze czas jakiś, później zaczyna tok słabnąć i koguty się rozchodzą. Wtedy myśliwy przypomina sobie, że ma strzelbę; pada strzał — trafiony ptak leży, inne pierzchają — koniec zabawy. Często się jednak zdarza, że cietrzewie po chwili znowu wracają: tak więc można zabić kilka kogutów jednego ranka, jeżeli św. Hubert pozwoli.

Z białym dniem zaczyna się druga, mniej pewna część polowania; koguty rozchodzą się i tokują po krzakach. Podchodzi się je ostrożnie, choć rzadko w ten sposób do strzału dojść można, bo to ptak nadzwyczajnie czujny. Mnie udało się w ten sposób zabić jednego, inne zrywały się na parę set kroków.

Polowanie skończone! Pod miłem wrażeniem wracamy do domu, dziękując Bogu za piękne dziś, a prosząc o piękniejsze jeszcze jutro.

Tak to polowaliśmy w Poddębcach.

Gościnnemu gospodarzowi sercem dziękuję za rozkosznie spędzone u niego chwile, jakich i Diana w Efezie nie miała i krzepię się nadzieją, że mnie św. Hubert i na rok przyszły w Poddębcach zarekomenduje.

Albert Mniszek.

Koszarki, dnia 8. maja 1895.

(Kobczyk w podróży).

Pospieszam natychmiast podzielić się z łaskawymi czytelnikami spostrzeżeniem rzadkiej wędrówki ptactwa w naszych strefach, w ciągu przeszło ćwierć-wiekowego zwracania bacznej uwagi na wędrówki naszych ptaków. Byłem wczoraj przypadkowym, po raz pierwszy, świadkiem przelotu kobczyków, czyli kobuzków *(Falco v. Erythropus vespertinus)*. Około 3. godz. po poł., przy wietrze wschodnio-północnym pojawiło się na widnokręgu południowym 3 sztuki kobczyków, lecąc z południa ku północy; przeleciały one w wysokości około 40 metrów ponad mem podwórzem, odsłoniły doskonale swe upierzenie i nie pozostawiły żadnej wątpliwości co do gatunku swego, tak dalece, że nawet odmiennie ubarwioną płeć odróżnić zdołałem. Ptaki te przesunęły się lotem dość wolnym i zginęły mi z oczu na północnej stronie, ale wnet nadlatywały z tej strony inne, dążąc w tym

samym kierunku co poprzednie, tak, iż w ciągu około $1^1/_2$ minuty bezustannie 2 lub 3 egzemplarze były widoczne. Przeleciało ogółem 30—32 sztuk, przynajmniej tyle ich naliczyć mogłem; nie wiadomo mi jednak, jak szeroko rozciągał się pas przeciągającego ptactwa.

Władysław Spausta.

Warszawa, w maju 1895.

(Z towarzystwa racyonalnego polowania.)

W dniu 26. kwietnia odbyło się ogólne zebranie członków Towarzystwa racyonalnego polowania. Zebranym w liczbie 37 członkom odczytano następujący projekt budżetu na 1895/6 r. W dochodach: ze składek 600 członków 7.200 rs., wpisowe i składki 100 nowych członków 1.600 r., ze sprzedaży żetonów, znaków, tablic, i t. p. przedmiotów 150 rs., z bilardów 50 rs., od wprowadzonych gości 150 rs, z kart i kar 4,550 rs., zwrot za opał (według kontraktu z właścicielem domu) 150 rs. z nieprzewidzianych źródeł 150 rs., razem 14,000 rs. Wydatki przewidywane są następujące: na najem lokalu 2,100 rs., oświetlenie 1,000 rs., opał 600 rs., zwrot kosztów sekretarza p. Więckowskiego 1,500 rs., pensye urzędników i służby 2,800 rs, na nagrody dla straży ziemskiej i służby leśnej 1,000 rs., na nagrody konkursowe 750 rs., na zakup żetonów, znaków etc. 100 rs., na utrzymanie lokalu 1,000 rs., na różne wydatki, druki, blankiety i t. p. 1,150 rs., razem 14.000 rs. Zebrani zatwierdzili ten budżet bez dyskusyi.

Po załatwieniu budżetu i innych spraw administracyjnych sekretarz Towarzystwa zawiadomił zebranych, że zamierzone jest powiększenie przestrzeni dzierżaw polowań w ks. Łowickiem i zadzierżawienie polowań w Czerniakowie i na Siekierkach pod Warszawą, oraz dzierżawa polowań w leśnictwie Kozienickiem, które ma przestrzeni około 45.000 morgów.

Na konkurs Tow. na najlepszą monografię sarny, zająca i kuropatwy nadesłano pięć prac. Prace te obecnie osądzone zostaną przez *jury*, do którego zaproszono pp. Jana Sztolzmana, ks. Stefana Lubomirskiego, hr. Augusta Zamoyskiego, Konstantego Rembielińskiego Aleksandra Rembowskiego i hr. Tolla.

W miesiącu sierpniu r. b. urządza Towarzystwo po raz pierwszy *field-trials*, czyli konkurs tresowanych psów w polu. Hr. Ks. Branicki, który jest głównym inicyatorem tego konkursu, przeznaczył na pierwszą nagrodę 100 rs., a Tow. od siebie dodaje jeszcze trzy nagrody w wysokości 75, 50 i 25 rs. Na pierwszy raz postanowiono dopuścić do tej próby polowej wszelkiego rodzaju wyżły bez względu na rasę.

J. M.

KRONIKA.

Wiedeńska wystawa psów, odbyta pod protektoratem arcyks. Franciszka Ferdynanda d' Este w dniach 4. do 7. bm., wypadła wcale dobrze, choć nie zbyt świetnie. Zachodni transport rotundy pomieścił wybornie okazy najrozmaitszych ras i chyba tylko rezonans sklepienia, oddający w spotęgowanej sile warczenia, szczekania i wycia, był zbytecznym, lecz nie uniknionym dodatkiem wystawy. Świetnie przedstawiły się okazy austryackiego *kurzhaarclub u*, reprezentowanego przez bar. Wrazdę, oraz zbiór pointerów, wystawiony przez znaną amatorkę i hodowczynię psów, baronową Dewitz. Powszechną uwagę zwracały też na siebie brazylijskie psy do polowań na sarny, oraz mięszaniec wilka i psa owczarskiego. Pierwsze nagrody otrzymały: Hanowerski tropowiec „Witte"; bawarski tropowiec górski „Welo"; austryacki gończak bar. Sessber-Herzingera „Filaks"; szorstkowłosy styryjski gończak do gór „Fax" i suka tej rasy „Wala" własność baronowej Waschington. Cztery nagrody i dar honorowy dano chartom. Dalej otrzymały nagrody I. klasy: niemieckie krótkowłose wyżły „Treff" Maks. Herdliczki, „Bruno Honsen" F. Zimmermana, „Stanzi" J. Schobera, „Alma V." F. Klettenhoffera, „Rio" hr. Mittrowskiego, „Norman A." bar. Wrazdy, „Norma" F. Pisministra, „Don" (odmiana „Brauntieger") ks. Salm, „Alarich" (biały z brunatnemi płatami) A. Praunschofera, „Gilda" bar. Wrazdy: niemieckie długowłose wyżły „Roland Meziles" i „Helga Meziles" Aug. Neumana; niemieckie ostrowłose wyżły „Faust" Rud. Pittnera, „Walli I." H. Neuhausera, „Nero G." dr. Lichackiego i „Tyras" E. Sassi'ego.

Próby zdolności w polu odbyły się z jamnikami i foxterrierami dnia 6 bm. ku niemałemu zajęciu publiczności, która podniosła ogromny krzyk, gdy dobrze już wytargany mykita skorzystał z jakiejś dziury w ogrodzeniu, otaczającem plac prób i wymknął się w czyste pole. Niedługo wszakże trwała ta jego wolność, gdyż wysłany za nim silny foxterrier wnet go dogonił i zadusił.

Wiosenny ciąg słonek był u nas bardzo słaby; nie było słonek lub tylko bardzo mało na Węgrzech. Z Węgier donoszą natomiast, że więcej niż kiedykolwiek przyleciało tego roku dzikich gęsi i dropi.

Łosie na wędrówce. W lasach Ybenhorstu, gdzie jak wiadomo trzymają się jeszcze jedyne w Niemczech łosie, próbowano odświeżyć krew ich przez łosie sprowadzone ze Skandynawii. Tej zimy dokuczyło coś tym importowanym łosiom, gdzie pewnego mroźnego dnia pojawiło się nagle szesnaście skandynawskich kolosów w pośrodku wioski Karkeln nad Kurońską zatoką. Zgłodniałe i zmęczone szły bez obawy drogą, a stanąwszy w jednem miejscu przed stożkiem siana, zaczęły je chciwie pożerać. Ani ludzie ani psy nie zdołały ich powstrzymać od tej biesiady. W Ybenhorscie nie zapominają łosiom podawać obficie karmy, lecz widocznie albo była przeszkoda w dostaniu się do niej, albo jakość nie przypadła Norwegczykom, więc zdobyły sobie śniadanie na karkeleńskich chłopach.

Przygoda jeleni. Pod Szczecinem, na mającym odpływ jeziorze Dammsee, przedstawił się tej wiosny oczom przechodniów szczególny widok. Oto na obszernym odłamie kry lodowej zobaczono dwa jelenie płynące z biegiem prądu. Widocznie para ta wybiegła z pobliskiej puszczy Randowskiej i udała się na lód jeziora, który się nagle załamał i poszedł wyżłobionem już poprzednio przez statki parowe korytem. Jelenie zachowywały się zupełnie spokojnie na swem ruchomem schronisku aż do chwili, gdy naprzeciw siebie zoczyły zbliżający się parowiec. Wówczas rzuciły się w wodę i dosięgły brzegu po ogromnym wysiłku. Jeden z jeleni pobiegł czemprędzej ku nadbrzeżnemu lasowi, drugi jednak, bezsilny, legł na brzegu i zginął wkrótce.

Upraszamy Szanownych członków gal. Towarzystwa łowieckiego o jak najrychlejsze uregulowanie zaległości wkładek za lata ubiegłe i uiszczenie wkładki za rok bieżący

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Zyblikiewicza 5.

TREŚĆ: Władysław Spausta: „Dawni wróżbici". — A. Michajłów: „W czółnie na niedźwiedzie". — Antoni Pisuliński: „Szkice z podróży". — „Nowe gatunki prochu". — Korespondencye: „Stan zwierzyny i stosunki łowieckie w obrębie okopów św. Trójcy". — „Z toku cietrzewi". — „Kobczyk w podróży". — Z towarzystwa racyonalnego polowania". — Kronika.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.